
AS
1937
GROSZ
PRZEBUDZENI

kalendarzyk „AS'a"



Czem się ludzie interesują w tym miesiącu?

Zaczynamy w obecnym numerze druk kalendarzyka, który ukazywać się będzie co miesiąc. Zamieszczać go będziemy w pierwszym tygodniu danego miesiąca. Kalendarzyk nasz to przegląd zainteresowań osób wszelkich zawodów, zarówno ludzi miasta, jak i ludzi wsi.

Rozpoczął się wrzesień — przypatrzmy się, co będzie nas najbardziej interesować w tym miesiącu:

1. ZACZYNA SIĘ SZKOŁA. Dzieci wracają z wakacyj. Uczniowie robią zakłady, jaka ortografja będzie obowiązywać w bieżącym roku szkolnym. Rodzice wstrzymują się jeszcze z zakupieniem tabliczki mnożenia, gdyż niewiadomo, czy nie będzie zreformowana. Władze szkolne zastanawiają się nad nowym programem nauki. W końcu okazuje się, że na zastanawianie się niema czasu i przyjmuje się program bez zastanowienia. Profesor historji zastanawia się głęboko przed pierwszym wykładem, czy myszy zjadły Popiela, czy Popiel zjadł myszy i jak to oświetla nowy program szkolny. Uczennice przeglądają pisma filmowe, aby dowiedzieć się czegoś nowego i naprawdę interesującego z historji. Uczniowie marzą o minionej swobodzie wakacyjnej.

2. LUDZIE TŁOCZĄ SIĘ W KAWIARNIACH. Następuje masowy ruch ludności z wsi do miast. Panie w kawiarniach opowiadają o kuracjach głodówkowych, które nie miały charakteru politycznego. Mimo to — też dużo straciły. Ludzie przyglądają się nawzajem i mówią: „Ach, jaki pan opalony". Pod wpływem tych słów wiele osób dostaje ataków nerwowych. Ludzie chodzą do kawiarni, gdyż wolą miejski ozon, niż górskie powietrze. Ten i ów marzy jeszcze o pobycie na łonie natury. Rozglądając się jednak po kawiarni, zdaje mu się chwilami, że jest nad morzem — tu też pełno bałwanów.

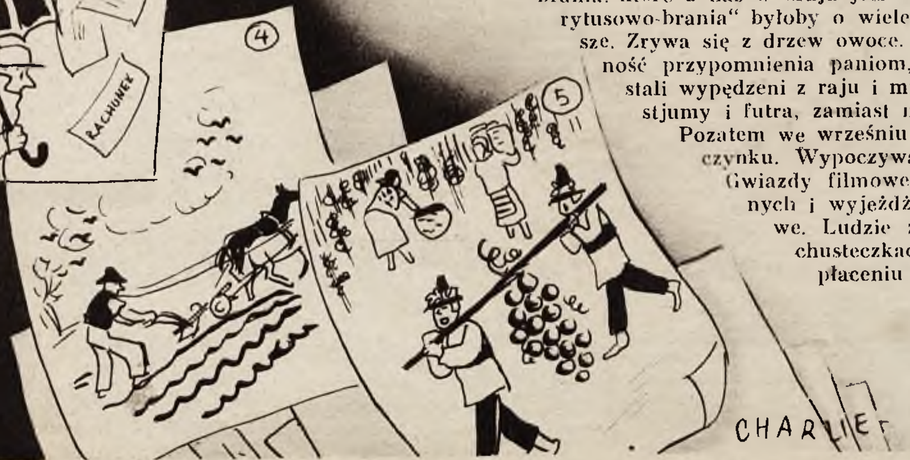
3. LUDZIE OTRZYMUJĄ STOSY NAKAZÓW PŁATNICZYCH. Istny deszcz weksli. Masy rachunków. Zdaje się nam, że całe życie gospodarcze kraju obraca się koło naszej skromnej osoby. Przez chwilę obejmuje nas roztkliwienie na widok tej całej poczty. A jednak o nas nie zapominają... Urzędnicy skarbowi pamiętają o nas przez całe dziesiątki lat. Mają świetną pamięć. Wzrusza nas list od osoby, którą uwielbialiśmy przed dziesięciu laty. List zaczyna się od słów: „Proszę o wyrównanie długu...". Poczciwa! Przez tyle lat pamiętała o nas...

4. WSZYSCY ZABIERAJĄ SIĘ DO PRACY. Na wsi wyprowadza się woły na orkę. W miastach żony każą mężom wcześnie wstawać i iść do biura. Wszędzie po okresie letniego rozleniwienia tempo pracy jest jeszcze bardzo powolne. Rolnicy patrzą na ziemię i zastanawiają się, czy co będzie z tej orki. Żony patrzą na mężów i dochodzą do wniosku, że z nich już nic nie będzie.

5. ZACZYNA SIĘ WINOBRANIE. Obchodzimy święto winobrania, które u nas w kraju jest bardzo skromne. Święto „spirytusowo-brania" byłoby o wiele huczniejsze i powszechniejsze. Zrywa się z drzew owoce. Panowie mają teraz sposobność przypomnienia paniom, że przez ich prababkę zostali wypędzeni z raju i muszą ciężko pracować na kostjumy i futra, zamiast na małe listki figowe.

Pozatem we wrześniu rozpoczyna się okres wypoczynku. Wypoczywa się po trudach wakacyj. Gwiazdy filmowe wracają z podróży poślubnych i wyjeżdżają w podróże wypoczynkowe. Ludzie zawiązują sobie supełki na chusteczkach, aby nie zapomnieć o zapłaceniu prenumeraty „Asa".

Adcalendasgrecas.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 36 **Niedziela 5 września 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 36-GO:

KALENDARZYK „ASA".
Czem się ludzie interesują w tym miesiącu? Str. 2.

POLOWANIE NA KOZIOROŻCA.
Wyprawa myśliwska w góry Kaukazu dostarczyła uczestnikom nietylko emocyj łowieckich, — ale i wrażeń czysto turystycznych. Str. 4—5.

PORTRETY IMAGINACYJNE POPULARNYCH KOBIET W POLSCE.
Jak w krzywem zwierciadle fantazji zmieniają się oblicza znanych szerokiemu ogółowi osób. Str. 6.

KRÓLEWSCY FAŁSZERZE.
Od czasów Mieszka III. aż po Fryderyka Wielkiego nieraz monarchowie europejscy uciekali się do fałszowania monet, celem ratowania skarbu państwa! Str. 7.

TAM, GDZIE ZACHÓD STYKA SIĘ ZE WSCHODEM...
Wrażenia turysty, który przemierzył Wielką Rumunję, począwszy od Czerniowiec aż po morze Czarne. Str. 14—15.

SCENY — SCENKI I ESTRADY A LA MINUTE!
Życie artystyczne podpatrzone w świetle kinkietów przez fotoamatora. Str. 16—17.

Artyści na cenzurowanem.
ZBIGNIEW RAKOWIECKI.
Jak utalentowany artysta stał się ulubieńcem warszawskiej publiczności. Str. 18.

NA POLSKIEJ RIWIERZE.
Dol na Dniestru, tonąc nawet jesienią w powodzi gorącego słońca, ściąga do siebie liczne rzesze kuracjuszy. Str. 19.

Z teki muzycznej „Asa":
ŚPIWKI Z ORAWY
w opracowaniu prof. dr. Zdzisława Jachimeckiego. Str. 22.

Dwie nowele. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Moda męska. — Kącik filatelistyczny. — Dział gospodarstwa domowego. — Moda kobieca. — Poranna gimnastyka. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Fot. RKO.

Do najbardziej lubianych gwiazdorów filmowych należy bezwątpienia Charles Farrell, którego widzimy na zdjęciu w jego nowej posiadłości w Toluca Lace w Kalifornji. Artyście towarzyszą jego dwa ulubione psy.

POLOWANIE



W wiosce — u podnóża »Chino Tau«...



Tylko kobiety nie wyruszają na wyprawę myśliwską...



Czerkies Nikko jest praktykującym mahometaninem...



Nareszcie pierwszy upolowany koziorożec...



W obozie suszy się mięso upolowanej zwierzyny...

Z polowania na wilki w Himalajach, z pełnych przygód łowów na tygrysy w grożących febrą dziewiczych lasach w Bengalji i z kunsztownych polowań na dzikie słonie na terenach hinduskich potentatów, przybyliśmy do dzikiegoi świata Kaukazu, między niemal nietknięte stopą ludzką olbrzymy górskie, z wznoszącym się ponad 5.000 metrów Kasbekiem i jego dziko zazębionym „młodszym bratem“ Czino Tau. Znowu otoczyło nas w czerkieskich wsiach odmienne pod względem form życie, znowu zwabiła nas w góry rzadka zwierzyna. Tym razem obiecywaliśmy sobie, że naszym łupem stanie się niedźwiedź kaukaski.

Małemu oddziałowi myśliwych brakowało po długiej i pełnej przygód podróży odpowiednich rekwizytów łowieckich do olowania na niedźwiedzie, wobec czego wyruszenie w góry musiało ulec odroczeniu na kilka dni. Czy kiedykolwiek mógłbym znaleźć upodobanie w bezczynnem przebywaniu w dolinie, wiedząc, że tam w górze, w pustych, dzikich rozpadlinach, czeka na mnie najszlachetniejsza zwierzyna? A w dodatku młody Czerkies Nikka opowiadał tyle interesujących szczegółów o wyprawach łowieckich na koziorożca. Bez trudu namówiłem go na wędrówkę w góry. Na kilka dni po zostawiłem mały obóz naszych towarzyszy we wiosce w dolinie pod opieką przyjaciela, a sam z Nikkiem wyruszyłem w trop za królem skalnych rubieży.

Zamiast ciężkiego wysokogórskiego obuwia, obitego gwoździmi, do którego przywykłem, wdziałem za przykładem Nikka krajowe obuwie Inguszów ze surowej skóry, wyplatane i wyścielone sianem. Niestety mój sztucer był uszkodzony odłamkiem skały, zrzuconym na mnie niedawno przez niedźwiedzia w złym humorze i dlatego musiałem się uzbroić w niezgrabną i ciężką, lecz celną na niewielkie odległości starą strzelbę rosyjską, którą ludność tamtejsza nazywa „berdanką“. Wkrótce przekonałem się, że trzeba było raczej poczekać na naprawę sztucear, niż ryzykować polowanie z niepewną br

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem dostrzegliśmy z oddali pierwsze stado koziorożców, musiałem, mając na względzie moje uzbrojenie łowieckie, podejść jak najbliżej, co w tej dzikiej, romantycznej okolicy górskiej równało się niebezpiecznej alpejskiej wyprawie. Przeszliśmy po niemal prostopadłej skale, za którą ukrywało się stado, lecz przez dłuższy czas nie mogliśmy go dostrzec. Wreszcie ukazały się znowu, lecz w takiem oddaleniu wśród masywu skał, że strzelanie z mej strzelby było niemożliwe. Nawet oko nie mogłoby podołać temu zadaniu.

Rozpoczęła się znowu utrudniająca spinaczka. Przez szeroką rozpadlinę górską przedzierał się ze świstem zimny wiatr i przeciekał strumyk, który musieliśmy przeskakiwać po chwiejnych kamieniach. Ze strumykiem rozpoczynało się znowu przepaściste, prostopadłe niemal zbocze skalne. Spinaliśmy się wytrwale w górę.....

Po kilku zakrętach stado wyłoniło się ponownie. Niemal na skraju lodowca, na tle wznoszących się białych szczytów, zawisło na mchem obrosłym skrawku górskim — obraz przedziwnie romantyczny, o niezapomnianym uroku. Zwolna, oszołomiony pięknem widoku, skradałem się w bok, szukając dogodnych miejsc. Nagle upadłem, wydając okrzyk bólu. Podczas wspinania się po skałach i lodowcach nie zauważyłem, że siano w lewym sandale przesunęło się i wielki palec był narażony na raniące uderzenia. Wpatrzony w koziorożca, nie dostrzegłem ostrego kamienia, który wskutek nieopatrznego kroku rozdarł mi nogę do krwi.

Mój okrzyk spłoszył stado, co skonstatowałem z żalem, patrząc przez szczelinę w miejsce, na którem przedtem było ono widoczne. Cały nasz dotychczasowy trud okazał się daremny. Kleliśmy co się zowie, schodząc z góry. Z uwagi na zranioną nogę musiałem zdać się na pomoc Nikka. Droga trwała około 6 godzin, które upłynęły zanim znalazłem się we wsi na posłaniu. Nigdy nie uwierzyłbym, że tak mała stosunkowo rana może sprawić tyle boleści i kłopotu. Noga spuchła i obwiałem się, że grozi mi zaka

NA KOZIOROŻCA







Od lewej: W czasie wyprawy niejedną noc trzeba spędzić przy ognisku... — Inarko wypatruje koziorożca przy pomocy staroświeckiej lunety... — Wyprawa dotarła do lodowców Kasbeku... *Wszystkie zdjęcia fot. C. Anders — Paryż*

żenie krwi. Na szczęście po kilku dniach cierpień wszystko skończyło się dobrze. Nikko poszedł po mojego starego strzelca Inarko do obozu. Ten był szczerze zmartwiony i przekonany, że nie byłbym się naraził na tyle bólu i kłopotów, gdybym się wybrał w jego towarzystwie.

— *Aj, panie, panie, pocóż było chodzić tak wysoko bezemnie! Teraz poleżysz panoczku długo, zanim wyruszymy znowu!*

Leżąc na posłaniu, podziwiałem przez okno uroczy widok gór. W uszach dźwięczała mi prześliczna „Suita Kaukazka" Rimskij-Korsakowa. Taki krajobraz mógł genjalnemu kompozytorowi dostarczyć tematu do jego wspaniałego utworu. A tymczasem Inarko wyplatał, siedząc na drewnianej ławeczce koło mojego łóżka, nowe sandały górskie, wkładając w swoją czynność dużo systematycznej i troskliwej staranności. Gdyby ten stary wiedział, jak równocześnie denerwował mnie swoją flegmatyczną powolnością! Czas wlókł się, a urozmaicał go jedynie Inarko opowiadaniem awanturniczych historyj myśliwskich z życia Inguszów.

Po ośmiu dniach przymusowego wypoczynku wyruszyliśmy znowu w trop za koziorożcem. A ilekroć spotykałem gromady dziko wyglądających Inguszów, których widok mógł przyprawić najodważniejszego o trwogę, przypominałem sobie dobre, poczciwe serca, kryjące się za ich kożuchami. Jeszcze niejeden raz miałem przekonać się o ich wiernej przyjaźni.

Podczas tej drugiej wyprawy nowe sandały oddawały mi znakomite usługi. Nikko i Inarko kroczyli przedemną jako straż przednia, przypatrując się bacznie drodze, aby znowu nie zaszła przeszkoda wskutek zranienia nogi jakimś zdradzieckim kamieniem. Wierzyłem, że tym razem moja berdanka napewno nie zawiedzie.

Poniżej: Wspaniałe rogi stanowią piękną ozdobę domostwa myśliwego...





W drodze na szczyt Kasbeku mija się olbrzymią siklawę...

Stojąc na zlodowaciałym szczycie skały, podziwiałem znowu wspaniałe widoki, jakie znają tylko myśliwi i wędrowcy w wysokich górach. Oczarowany niemal do zapamiętania, byłbym może poślizgnął się znowu i upadł w przepaść, gdy nagle ujrzałem na tle przeciwległej skały ciemne punkty, które ściągnęły na siebie moją myśliwską uwagę.

Równocześnie szepnął Nikko:

— *Panie, uwaga, koziorożce!*

Tak, to byli zwinni, pełni niewysłowionej gracji mieszkańcy górskich rozpadlin, nieprzeczuwający nawet, że grozi im niebezpieczeństwo. Skradaliśmy się, unikając najmniejszego szmeru. Pokonaliśmy przeszkody w postaci niedostępnych kominów górskich i wreszcie z zapartym z emocji oddechem, zbliżyliśmy się do stada. Mogłem widzieć jak na dłoni, jak dumny i baczny na każde niebezpieczeństwo kozioł, wódz gromady, wspaniały okaz unosił co chwilę ukoronowaną rozgałęzionemi rogami głowę, trwając potem w wyczekującym bezruchu. Lecz nic nie wywoływało jego nieufności.

Skradając się, wpatrzeni w stado, podeszliśmy bliżej na odległość strzału. Jeszcze tylko jedna rozpadlina, a koziorożce staną się naszym łupem. Nagle — kamień poruszony szybkiemi krokami oderwał się od skały i runął z hukiem w przepaść. Grzmiące głuche echo spłoszyło stado, do którego podejście okupione było takim trudem i napięciem nerwów! Nie zważając na niebezpieczeństwo, skoczyłem w stronę umykającego stada i strzeliłem. Młode koźlę, nie tak zaradne jak starsze, doświadczone, padło trafione z odległości niespełna 40 metrów.

Przyznam się, że byłem rozczarowany. Miałem chrapkę na starego kozła, wodza wyprawy. Jakieżby to było wspaniałe trofeum myśliwskie! Ale cóż robić. Stado wraz z wodzem zniknęło jak fata morgana.

— *Panie* — pocieszał mnie Nikko — *to i lepiej, bo nikt z nas nie ugryzłby mięsa takiego starego kozła! A pieczeń z młodego koźlęcia będzie pyszna i przyda się każdemu z nas. Zaraz zrobimy dobry szaszłyk.*

Nikko miał rację. Na zaimprowizowanym rożnie upiekł koźlę, które okazało się największym smakołykiem, jaki kiedykolwiek jadłem. Przyrządził pieczeń w ten sposób, że pokrajał mięso w plastry i umieścił każdy między dwa skrawki tłuszczu z koźlego ogona. Ja tymczasem postarałem się o trunek. Zaostrzonym kijem odłupałem kilka bryłek kryształowego lodu, który stopiliśmy na ognisku. Inarko, przezorny i doświadczony, zaopatrzył się w zapałki, dzięki czemu mogliśmy zapalić ognisko, przy którem upiekliśmy koźlę i zagrzaliśmy się po uciążliwej przeprawie. Nie brakło nawet doskonałego wina kaukazkiego, którem chciałem poczęstować moich towarzyszy. Odmówili jednak, patrząc na mnie z wyrzutem. Zapomniałem, że są muzułmanami i że wierni tradycji ojców, nie pijają napojów alkoholowych. Zadowolnili się wodą z lodowca. Byłem im w duchu wdzięczny za ich wstrzemięźliwość. Manierka czerwonego wina do potężnego płatu koźlej pieczeni, to bądź co bądź niezbyt dużo po tak utrudzającej wyprawie myśliwskiej!

K. H. Heiland-Tetting.

PORTRETY + IMAGINACYJNE POPULARNYCH KOBIET + W POLSCE

Jest wierutnem kłamstwem, że aktorzy i aktorki Hollywoodu mają swoje „double“, swoje sobowtóry! To znaczy, że jest to o tyle kłamstwem, że nie tylko oni i one „dedublują“ się na ekranie. Każdy z nas jest w tem położeniu! Niema bowiem człowieka, któryby był naprawdę sobą. Imaginacyjne jego podobizny obiegają świat, a im bardziej jest znany, tem więcej tych odbitek, mniej lub więcej do niego podobnych. Każdy człowiek odbija się nie tylko w kartach (o ile ma oczywiście szczęście i randka mu się nie udała), ile w umyśle i oczach swych „bliźnich“, którzy mogą zresztą być nawet bardzo dalecy, o ile chodzi o czytelników. Czytają poprostu nasz feljeton, naszą humoreskę, naszą sztukę sceniczną, czy nasz wiersz i wedle słów tego, utwory układają sobie nasz obraz. Ile par oczu, ile głów, uczesanych w przedziałek, fryzurę à la garçonne, à la Marina, czy à la coś innego, tyle naszych obrazów. Znam np. pewnego pana, którego uważałem zawsze za starszego człowieka, który zna dobrze życie, tylko dlatego, że podpisywał się Stary Koń i pisał humoreski. Okazało się, że jest to niemowlę, które już w pieluszkach robiło dwuznaczne dowcipy, o tyle zresztą dwuznaczne, że tłumaczono je na różne sposoby, nie mogąc dotrzeć do tak zwanego sedna. Przypomina mi to pewną scenę z kapitalnej komedji de Flersa „Le bois sacré“, w którym do prezesa Akademji zgłasza się pewna literatka, chcąc uzyskać poparcie prezesa przed przyznaniem nagrody literackiej i przez służącego posyła mu bilet wizytowy. Prezes czuły na kobiece wdzięki kryguje się przed lustrem, chcąc godnie przyjąć młodą (zapewne) literatkę i zrobić na niej piorunujące wrażenie. Po chwili do gabinetu wchodzi siwowłosy staruszek. Pomyłka prysła i prysł też urok nazwiska! I my czytelnicy, ulegamy takim złudzeniom. Sądząc po pewnych tematach, obrabianych przez autorów, po ich predylekcjach po tem co o nich czytamy, wyobrażamy sobie ich inaczej, jakimi są naprawdę. Gdybyśmy nie znali z fotografji p. prezesa PAL'u, Sieroszewskiego, wyobrażalibyśmy sobie, że jest to staruszek o siwej jak św. Mikołaj brodzie, o chabrowych (o ile możności) oczach, rumianych policzkach, a tymczasem jest to młody człowiek, nawet bardzo młody, skoro tak niedawno jeszcze miał niańkę i piszący swe bajki nie jako literat, ale jako niemal rówieśnik swych przyszłych czytelników. Zresztą czego się nie robi dla młodzieży!

Albo czytając o licznych podróżach politycznych p. Beckowej mniemalibyśmy, że jest to poważna matrona, która „zęby zjadła“ na polityce, gdy tymczasem jest to młoda, urocza kobieta, zdobywająca serca ludzkie nie dyplomacją, a swym czarem. Podobnie rzecz się przedstawia z panią Magdaleną Samozwaniec. Jeżeli ktoś pisze o brydżu, i o grzechu i o wielu innych takich rzeczach, stanowiących rekwizyt starej ciotki, sam musi być cherlawą, złośliwą sarszą panią, siedzącą na kanapie i mającą wszystko wszystkim za złe. A tymczasem jest przeciwnie! Walasiewiczównę również wyobraża sobie mój przyjaciel zupełnie fałszywie! W oczach jego to młody, energiczny mężczyzna, pijący chętnie wódeczkę z kropką, z wąsikiem, w meloniku, w typie amerykańskiego businessmana. A tymczasem! Zresztą co będę dłużej opowiadał, wszyscy państwo znacie Walasiewiczównę, przynajmniej taką, jaką się przedstawia w chwili obecnej. Gdy zawładnie nią Smętek, może się zmieni... Tymczasem jest jeszcze taką, jaką była tydzień temu, tak mnie przynajmniej zapewnił nasz korespondent.

Dobrze; mówiliśmy o naszym obrazie w oczach innych. A gdybyśmy powiedzieli coś o naszym obazie w naszych własnych oczach? Czyż nie zaszłyby pewne zmiany, pewne odchylenia od prawdy? Stary zrzęda niemiecki Schopenhauer podzielił wartości życiowe człowieka na trzy kategorje, zależnie od tego, co on posiada, jakim jest naprawdę, lub jakim się wydaje. W XVIII wieku istniał zwyczaj spisywania swych własnych „portretów“, tj. opisanie swej osoby z najbardziej objektywnego punktu widzenia. Temu to zwyczajowi zawdzięczamy m. in. obraz spisany przez twórcę genjalnych aforyzmów, księcia Franciszka de la Rochefoucauld. Jakże odbiegają one od tego, co o tych postaciach powiedzieli współcześni w swych pamiętnikach, które wyjrzały na światło dzienne wiele lat po ich śmierci!

Więc nie tylko gwiazdy Hollywoodu mają swoje double! I my je mamy. Każdy z nas dwoi i troi się przed oczami współczesnych, choćby byli najbardziej trzeźwi. I to właśnie stanowi o uroku życia: jest ono płynne, pojęcia i poglądy przypominają opal, który zależnie od oświetlenia zmienia ciągle barwę. Nie będąc więc nawet kameleonem, stajemy się nim w oczach otoczenia.

Jan Maleszewski.



Od lewej: Walasiewiczówna widziana oczami niektórych entuzjastów sportu. — P. Beckowa dziwnie przypomina rysami twarzy swego małżonka. — Oto „synteza“ Jadwigi Smosarskiej, hożej odtwórczyni ról panienek z dworu. — Magdalena Samozwaniec w fantazji czytelników jej książek. *WSZYSTKIE RYSUNKI MIECZYSŁAWA PIOTROWSKIEGO — WARSZAWA.*

KORONOWANI FAŁSZERZE



Denary krzyżykowe z srebra z czasów Mieszka II. (1025 - 1034)

Podstawą wszelkiego ustroju państwowego jest skarb i wojsko, bez których to czynników wszelki rozwój oraz obrona kraju byłaby nie do pomyślenia. Długi czas trwało, zanim pieniądz, jako moneta obiegowa zyskał na świecie swe stanowisko a zamieszanie potęgowały często sposoby, do których już w wiekach średnich uciekali się władcy państw zachodnich na wypadek wojny, lub też z prostej chęci zysku.

Mennice były prywatną własnością króla czy też księcia, który według swej woli wydzierżawiał ją, ciągnąc z bicia monety dla siebie duże dochody. Skarby królewskie wymagały ciągle nowego zasilenia, a to z powodu często toczonych wojen, wśród których wytwarzały i krystalizowały się organizacje państwowe.

Władcy niemieccy i czescy stosowali począwszy od w. XII przez cały wiek XIII, w razie potrzeby systematyczne obniżanie stopy procentowej monety. Raz po raz na ich polecenie ujmowano zawartość srebra na rzecz miedzi i innych nieszlachetnych metali. Kilka razy do roku wypuszczano coraz to nową monetę, na czem najlepiej wychodził sam król czy książę, oraz dzierżawcy mennicy, spełniający zarazem funkcję urzędników. Zamiana monety bowiem odbywała się na placach miejskich w dni targowe, gdzie za stołami zasiadali mincerze, w imieniu króla wymieniając monetę starą na nową, płacąc przy tem np. za trzy sztuki pieniędzy tylko dwie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że oprócz tej straty nie wszyscy mogli na czas monetę wymienić, a wszystkie świadczenia musiały być płacone pieniędzmi nowymi, to zdamy sobie sprawę, że sposób ten pociągał za sobą duże dla władcy zyski, sprowadzając równocześnie na kraj i poddanych jego zupełne niejednokrotnie zubożenie, a co za tem idzie upadek gospodarczy.

„Modę“ finansowego niszczenia swych przeciwników w osobach możnowładztwa, stosował u siebie w Wielkopolsce Mieszko III Stary, u którego widoczne są bardzo silne wpływy wspomnianych już władców Niemiec i Czech, ujawniające się w tym samym sposobie pogarszania monety i wybijania t. zw. cienkich denarów, pieniążków tak cienkich i lichych, że wycisk stempla był wypukły tylko po jednej stronie, na drugiej zaś pozostawała wklęsłość. Stąd też pochodzi owa ogromna ilość . zw. brakteatów, czyli lichych cienkich monetek, których bicie przypada najwięcej na czasy wspomnianego Mieszka III, oraz innych współczesnych mu z końcem XII i początkiem XIII w. książąt dzielnicowych, których owa polityka Mieszka III zmogła, pozostając dla niego jednym najlepszym środkiem, umożliwiającym mu zdobycie i utrwalenie naczelnej władzy księcia krakowskiego.



Grosze praskie z czasów Wacława II. znalezione w Rybinie.

Po pewnym okresie czasu, bo w wieku XV i XVI pojawia się znów zwyczaj fałszowania talarów w Niemczech, z czego słynęli władcy poszczególnych księstw a wśród nich książęta brunszwiccy z rodziny Welettinów.

Nie będą wolne od podobnych objawów czasy nowsze, gdy Fryderyk II pruski, chcąc uzyskać dla swego państwa nowe korzyści ze zdobycia Śląska na Austrji rozpoczął wojny Śląskie. Ofiarą jego poczynań w kierunku pokrycia zapotrzebowania na ogromne sumy pieniędzy stała się nieszczęsna pod rządami Augusta III Rzeczpospolita, uginająca się pod ciężarem rekwizycyj i nadużyć, jakich przemaszerowujące przez nią wojska pruskie się dopuszczały. Największą klęską było zalewanie jej przez Fryderyka II fałszywą monetą

W r. 1754 rozpoczął król akcję fałszowania monety, wydzierżawiając swe mennice we Wrocławiu, Królewcu i Szczecinie, polecając i zezwalając na obniżanie wartości bitych tam pieniędzy polskich. Zajęcie przez Prusy Saksonji w czasie trzeciej wojny śląskiej t. zw. siedmioletniej w r. 1756, a wraz z nią Lipska i znajdującej się tam mennicy polskiej (w której bito pieniądze złote i srebrne). spowodowało wzmożenie akcji fałszowania monety polskiej.

Na czele mennicy stanął sprowadzony przez Fryderyka II z Berlina niejaki Efraim i z momentem tym rozpoczyna się w sposób w dziejach niesłychany i bezwstydny następujące formalnie z dnia na dzień, pogarszanie monety. Zamiast 14 talarów z grzywny czystego srebra bito po 19—24 w r. 1776, a w latach następnych 30—40. Dla niepoznania umieszczano na nich „bez żenady“ wizerunki i cyfry Augusta III i Fryderyka II, używając starych stempli, bo dopiero w r. 1761 i 62 zmieniano na nowe stemple z r. 1753. Najwięcej nadużyć dopuszczano się przy biciu monet złotych t. zw. augustdorów, w których zamiast 23 i pół karatów dawano tylko 7 karatów złota. Oprócz monet koronnych fałszowano także pieniądze sasko-polskie z lat 1757—62, więc grosze, dwugrosze, talary i dukaty, na których pod herbami Augusta III kazał Fryderyk umieszczać swój monogram. Wszystkie te fałszowane pieniądze noszą od imienia owego dzierżawcy nazwę „efraimitów“, a kursując po kraju powodowały wraz z chaosem monetarnym niesłychane szkody. Kres temu położył pokój podpisany z Prusami w r. 1763.

Jest rzeczą godną uwagi, że gdy Napoleon w r. 1809 po pokonaniu Austrji znalazł się w Schöbrunnie zagroził generał-adjutantowi hr. Bubna: „Kazałem we Francji zrobić 200 miljonów banknotów, które puszczę w obieg i jeżeli tylko rozpocznie się znowu wojna zarządzę na nowo tutaj ich fabrykację“. Wielki Napoleon nie gardził więc również tymi samymi sposobami jakimi posługiwał się Fryderyk, z tą różnicą, że fabrykacja pieniędzy austrjackich odbywała się w najściślejszej tajemnicy. Owa potajemna prasa w Paryżu rozpoczęła swą działalność widocznie znowu w r. 1813, świadczy o tem bowiem list cesarza wysłany z Paryża do pasierba jego Eugenjusza Beauharnais, walczącego wtedy w górnych Włoszech przeciw Austrji: „Otrzyma Pan paczkę, zawierającą miljon papierowych pieniędzy wiedeńskich. Proszę zrobić z nich odpowiedni użytek“.

Gdy później Beauharnais jako zięć króla bawarskiego przeszedł na stronę związkowych, zwrócił uwagę hr. Stadiona na podejrzane pochodzenie tych banknotów. Dochodzenia przeprowadzone w tym kierunku przez hr. Bombelles wykazały, że fałszowanie banknotów austrjackich ustało z chwilą poślubienia przez Napoleona arcyksiężniczki Marji Luizy. W tym czasie rozpoczęto fabrykację rubli rosyjskich, a w dwa miesiące później pieniędzy angielskich. Oprócz fałszowanych na nowo w r. 1813 banknotów austrjackich, fałszowano też papiery pod nazwą „Papiers de coalition“, które jednakże w obieg nie zostały puszczone.

Prócz tego, że banknoty austrjackie w r. 1809 opiewały przeważnie na 500 i 1000 guldenów i że sfabrykowano ich na sumę 40 miljonów guldenów, nie wiadomo dokładnie ile z nich puszczono w obieg, ponieważ wszelkie książki i zapiski odnoszące się do tego zostały zniszczone.

W małym domku w Montrouge pracowano tylko w nocy i to w najściślejszej tajemnicy, ściągając podejrzenie prefekta policji nazwiskiem Pasquier, nie mającego pojęcia czyja to „fabryka“. W poszukiwaniu zwyczajnych fałszerzy byłby pewnej nocy „nakrył“ owo całe przedsiębiorstwo, gdyby nie szepnięte na czas ostrzeżenie księcia Rovigo, który poinformował go dopiero o istotnym stanie rzeczy, zażegnywując w ten sposób wybuch niebywałego skandalu.

Mgr Anna Nichthauser.

KĄCIK FILATELISTYCZNY









Po powrocie z urlopu pierwsze swe kroki kieruje filatelista do sklepu po nowy katalog. W tym roku nowe wydanie Michla na rok 1938 jest doprawdy źródłem prawdziwych sensacyj zwłaszcza jeśli chodzi o ceny!

W pierwszym rzędzie jednak należy podnieść dalsze ulepszenia, które w ślad za Michlem wprowadzą zapewne i inne wydawnictwa. Otóż znaczki t. zw. obiegowe niemieckie niestemplowane, nie są wyceniane. Jest to zupełnie słuszna inowacja, tylko, że tak samo (znakiem trąbki pocztowej) powinno się wyznaczać znaczki obiegowe wszystkich narodów bez wyjątku, gdyż ceny „rabatowe" nie są dla nich zupełnie miarodajne. Tutaj nawet należałoby doliczać do wartości nominalnej znaczków takich państewek jak Luxemburg, Monaco, San Marino, Liechtenstein, conajmniej 100%, gdyż nie sposób je dzisiaj dostać natychmiast po wydaniu.

Objętość katalogu europejskiego powiększyła się z 898 na 948 stron, przyczem odrębna kartka 931 została poświęcona „blokom". Pod tym względem zapanował istny szał, a cena np. Luxemburga no. 142 ustanowiła rekord skoku w zwyż z 225'— na 800'—. — Czy rzeczywiście ceny te są osiągalne, to inne pytanie, np. wątpić należy, czy na polski blok „Warszawa 1928" notowany 100'— (w 1937 18'—), znajdą się nabywcy, którzyby chcieli płacić od 30 do 50 złotych. Niemniej jednak wszystkie bloki znikły z „horyzontu" i radzimy wszystkim raczej wyeliminować je ze swego programu zbierania. Naturalnie z wyjątkiem tych filatelistów, którzy mają ochotę zapłacić za blok „Vaduz" 200 złotych gotówką itp.

Na nowe bloki czatują natomiast wszyscy i gromadzą potrzebne kapitały. Francuski „Pexip" z miejsca kosztuje 50 Michel M., ale jak spodziewaliśmy się, nie dogonił jeszcze Ostropy (75'—). Co będzie z polskiemi bloczkami? — pytają się także wszyscy zaniepokojeni milczeniem M. P. i T. zbieracze.

Otóż według najnowszej wersji nakład ma być podwyższony do 400 tysięcy, czyli że razem poczta spodziewa się zainkasować przeszło 2 miljony. Gratulujemy, tylko oby niesprzedanych bloków nie zaopatrywano później innemi przedrukami, jak to miało miejsce z „Hitlerblokiem". Przy okazji wypada wspomnieć, że swego czasu Niemcy zapowiedzieli, że rokrocznie będzie się ukazywał jeden „Hitlerblock". — Obietnica ta została jednak z miejsca przekroczona w czwórnasób, bo prócz zwykłego bloku, ciętego, i z nadrukiem „Kulturspende", zapowiadamy wszem wobec i każdemu zbieraczowi z osobna, aby zawczasu postarał się o czwarty „Hitlerblock" z pionowemi przedrukami na znaczkach: „Reichsparteitag Nürnberg 1937".

Dla większego urozmaicenia powinien on być wydany jeszcze cięty, a prócz tego także w formie koła i owalu, bo podobnej formy nie przewidują narazie nasze albumy

Zastanówmy się teraz poważnie, czego dowodzi ta fantastyczna zupełnie zwyżka, która objęła zresztą wszystkie absolutnie lepsze znaczki. Dochodzi ona niejednokrotnie do 500%, a z mikroskopem chyba należy szukać tych znaczków powyżej 10'—, które zachowały tylko swą dawną wartość. Filatelistyka znajduje się obecnie w swem apogeum i można się tylko pytać, czy liczba zbieraczy dalej wzrastać będzie w tem tempie. Pewnie że astronomiczne ceny odstraszają nawet bogaczy od zbierania wszystkich krajów i każdy zacieśnia krąg swego zainteresowania do państw ościennych. Wytwarza się tem samem błędne koło, gdyż kapitał przeznaczony dawniej na wiele egzemplarzy, bywa teraz gromadzony, celem zdobycia kilku tylko białych kruków (czytaj bloków), które z dnia na dzień stają się coraz bardziej niedostępne.



Niemcy, Austrja, Malta, Finlandja, Francja, Bułgarja, a przedewszystkiem Belgja zwyżkowały najbardziej, Holandja nieznacznie, „Poczta Polska" osiągnęła już prawie należyty poziom, natomiast z radością powitać należy załamanie się cen znaczków sowieckich i wyeliminowanie licznych reprodukcyj typowo spekulatywnych wydań. — Tannu-Tuwa, kraj istniejący tylko w legendzie i na znaczkach pocztowych utrzymał się wprawdzie jeszcze i w katalogu, ale z pełną satysfakcją czytamy napis tłustym drukiem: „Pocztowa emisja tych znaczków nasuwa poważne zastrzeżenia". Nawet „zamorszczyzna" ruszyła trochę z miejsca, na którem zasiedziała się od wielu lat. Większe zmiany rejestrujemy oczywiście w U.S.A. i to zwłaszcza przy wydaniach jubileuszowych.



Aby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń po tylu pochwałach, wyrażonych w stronę Michla, który zresztą i bez tego opanował nasz rynek, musimy mu zarzucić przedewszystkiem, że jeśli chodzi o warunki wymiany forytuje on zbyt wyraźnie Niemcy. Jest zupełnie wykluczonem, aby polski wydawca odważył się w bliskiej przyszłości na emisję katalogu choćby Europy w naszym języku, — w każdym jednak razie należy opierać sę tylko na tych katalogach, które fachowo oceniają wartość polskich znaczków, a nie tak, jak Yvert, który nie ostrzega przed fałszerstwami.

Bardzo mizerny papier katalogu, nie włączenie ostatnich nowości do samego tekstu, i jak zawsze, malutkie reprodukcje to najsłabsze strony pierwszego cennika który ukazał się w sezonie 1937/8.

Ze zbioru mgr. Bałowskiego z Katowic reprodukujemy najnowsze znaczki Liechtensteinu. Przedstawiają się one bardzo ładnie, gdyż rysunki o motywach z rycerskiego średniowiecza wykonane są heliograwurą dwukolorową: 10 rp. fioletowy na tle żółtem, 50 rp. brązowo żółty.



Format 10 rp. 25×40 mm, 50 rp. 41×28 mm, wysokość nakładu nie jest nam znana, ale chociażby znaczki te długo nawet były w obiegu, nie zaliczać się będą nigdy do „śmieci".

Z końcem czerwca wydał pozatem Liechtenstein serję z 4 znaczków za 10, 20, 30 i 50 rp. na pamiątkę wykonania różnych wielkich prac ziemnych, kanałów

Dokończenie na str. 18-ej











alter ego

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI NOWELA

Sprawa sądowa ajenta handlowego Williama Reeda zaprzątnęła na długi czas umysły wszystkich mieszkańców Paryża.

Jak zwykle tłum żądny sensacji rozpatrywał najdrobniejsze szczegóły, tyczące się oskarżonego, atoli każdy musiał wzruszyć ramionami, stojąc wobec zagadki nie do rozstrzygnięcia. Był to tajemniczy rebus życiowy, nad którym bezowocnie wytężały się najtęższe mózgi znakomitych prawników francuskich.

Popełniając zabójstwo, William Reed nie powodował się ani szałem, ani rozpaczą. Nie powodował się postanowieniem zimnem i niezłomem, bowiem postanowienia takiego nie miał wcale. Poprostu idąc ulicą zwyczajnym krokiem przechodnia, wyjął z kieszeni rewolwer, odwrócił się nagle i strzelił w samą twarz śpieszącemu za nim pastorowi O'Brien, który upadł, zalewając się krwią.

Wszczął się tumult: William Reed, nie zdradzając najmniejszej chęci do ucieczki, stał pochylony nad trupem i przyglądał mu się ze zdziwieniem. Uczucie to tak szczerze malowało się na jego twarzy, że aresztujący go policjant oniemiał ze zdumienia.

Zapytany w komisarjcie, dlaczego to zrobił i co mu pastor zawinił, William Reed odpowiedział, że sam nie wie, jak to się stało i że pastora nigdy w życiu nie widział i nie znał.

Nasuwało się tedy przypuszczenie, że zaszła fatalna pomyłka, a mianowicie, że William Reed chciał zabić innego człowieka. Hipotezę tę, jak się wydawało na pierwszy rzut oka całkiem słuszną, obalił sam zabójca, twierdząc, że nigdy nie miał zamiaru pozbawiać życia żadnego człowieka.

Zabił — oto wszystko!

Ani krzyżowe pytania, ani wybiegi prokuratora nie zdołały zbić z tropu oskarżonego i zmusić go do wyjawienia prawdy. Reed uśmiechniętym wzrokiem patrzał w oczy sędziemu śledczemu i powtarzał wciąż swoje dziwaczne zeznania. Nie czuł żalu i skruchy, że zabił niewinnego człowieka, który osierocił żonę i kilkoro dzieci. Jeżeli zaś czasem sumienie poczynało go dręczyć, wnet zagłuszała je radość wielka, rozpierająca mu piersi. Z czego się tak cieszył ten człowiek — nie było nikomu wiadomem.

Drugi dzień śledztwa przyniósł nową niespodziankę, William Reed zeznał, że właściwie popełnił samobójstwo i jest szczęśliwy. Twierdzenie powyższe wzbudziło podejrzenie co do stanu poczytalności oskarżonego.

Z rąk sędziego śledczego Reed powędrował do kliniki psychjatrycznej pod obserwację, stamtąd zaś wrócił z adnotacją, że zachowuje się jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie. Cieszy go słońce, bawią ludzkie twarze i rozmowy i w ogólności robi wrażenie człowieka normalnego, którego nagle coś wielce uradowało. To „coś" jednak pozostało niezbadanem i dla sędziego i dla psychjatrów.

Nie mogąc rozwikłać ciężkiej sytuacji i odnaleźć ziarnka prawdy, sędziowie postanowili przymknąć oczy na wszelkie ewentualności życiowe, opierając rozumowanie swe wyłącznie na kodeksie. Dura lex — sed lex! Tak być musi! Faktem jest, że Reed lat 35, z zawodu ajent handlowy, popełnił zabójstwo. Faktem jest, że nie zachodzą żadne okoliczności łagodzące. A wobec tego William Reed odpowiada z art. 1438 K. K. Groziła mu kara śmierci.

W czasie naznaczonym na rozprawę, sala sądowa była zapełniona po brzegi. Podawano sobie z ust do ust wiadomość, iż oskarżony nie przyjął obrony, ufając jedynie we własne siły i twierdzi, że jest niewinny. To, co się stało, nie on uczynił, lecz złowrogie fatum życiowe. Ostatnie powiedzenie komentowano z uśmiechem, biorąc je więcej za „okrągły" frazes literacki, aniżeli za prawdę. A jednak czaiła się w tych słowach zapowiedź ciekawej i strasznej spowiedzi, którą wiele osób przeczuwało intuicją.

Po odbyciu wszelkich formalności prawnych celebrowanych z pompatycznem namaszczeniem przez sąd i po namiętnej i krzykliwej mowie prokuratora, usiłującego przekonać wszystkich o słuszności swoich żądań, dano głos oskarżonemu.

William Reed wstał. Postacią swą nie robił żadnego wrażenia. Był przeciętnym człowiekiem o pospolitej twarzy, z jasnemi uśmiechniętemi oczyma nieco żółtawego połysku. Patrząc w nie, trudno zaiste było dać wiarę, że ten człowiek popełnił zabójstwo i... cieszył się z tego!

— Proszę państwa! Nie umiem przemawiać i nie wiem, jakiemi tytułami darzyć tych, którzy raczą mnie teraz wysłuchać. Nie przyjąłem obrony, mam bowiem wrażenie, że to co trzeba, niczyje usta nie potrafią wypowiedzieć. Człowiek tylko, który przeżył to i przecierpiał, który niejako oczyma duszy widział, potrafi jedynie choć w setnej części odmalować mój dramat życiowy. Tych, którzy spodziewają się w nim romansu — spotka zawód głęboki. Nie kochałem, dzięki czemu nie odczuwałem zazdrości.

Panie prokuratorze! Zanim przejdę do meritum sprawy, pragnę kilka słów poświęcić panu w odpowiedzi na jego mowę.

Sucha litera prawa nie wystarcza do oceny postępków ludzkich. Czyż może kodeks karny przewidzieć wszystko zło, jakie na świecie się kryje? Czyż może iść w zawody z bujnem, szerokiem życiem, mieszczącem w sobie tyle niespodzianek i tajemnic? Czyż może przeniknąć do duszy ludzkiej i zbadać przyczyny powstania myśli i zamiaru, nie zbłądziwszy w labiryncie zagadek psychologicznych, nieznanych dziś jeszcze nauce? Mało posiadamy wiadomości o świecie zewnętrznym, lecz co wiemy pewnego o życiu wewnętrznem? A jednak gnani dziwną słabością ludzką, ośmielamy się sądzić bliźnich naszych, spoglądając przez pryzmat własnej, zaściankowej wiedzy i wydawać wyroki na podstawie ogólnego rzutu oka po powierzchni życia. Co w głębinach jego się dzieje — nie wiemy! Zły to kompas, który nieczuły jest na drgania najmniejsze. Wieleż wyroków śmierci wydano na ludzi niewinnych, których jedyną tragedją w życiu było, że stanęli wobec prawa, obciążeni takiemi okolicznościami, których to prawo nie znało i nie mogło zrozumieć, czyniąc ze sprawiedliwości — gwałt i mord pospolity, upiększony usankcjonowaną formalnością?!

Dużo mógłbym jeszcze na ten temat powiedzieć, gdyż sam znajduję się w podobnej sytuacji i grozi mi kara śmierci, lecz sądzę, że to co powiedziałem, dostateczną jest odpowiedzią na mowę pańską, panie prokuratorze! Teraz przejdę do sprawy, mnie osobiście tyczącej.

Zabiłem! Oświadczyłem to już raz sędziemu i powtarzam raz jeszcze w sądzie. Pod względem prawnym przyznanie się do winy jest stwierdzeniem faktu, za który grozi pewna mniejsza lub większa kara. Zależne to jest od okoliczności, których w rachubę nie biorę, bowiem tak, czy owak kara jest nieunikniona. Pod względem prawnym, powiadam, lecz nie z mego punktu widzenia.

W obliczu Boga i ludzi gotów jestem przyło i zamiast kary należałoby się raczej ulitosiąc, że nie jestem temu winien, co się stawać nade mną. Ileż razy czytałem w biblji słowa Chrystusa, który obdarzał miłością swoją wrogów, mówiąc: „miłujcie ich, albowie nie wiedzą, co czynią!" Czytałem, lecz nie rozumiałem, teraz zaś posiadłem całą mądrość tych słów, ponieważ treść ich stała się moim przeżyciem.

Było to w kwietniu, a więc temu trzy miesiące. Jako ajent handlowy przebywałem wówczas w jednym z większych miast południowej Francji, załatwiając interesy swojej klienteli. Dla łatwiejszego zrozumienia tego, co powiem, zmuszony jestem zaznaczyć, że co pewien czas podlegałem atakom straszilwej nudy. Anglicy nazywają to „spleen", Rosjanie „chandrą", ja zaś określę ów stan pychiczny zupełnym brakiem zainteresowania się życiem.

Choroba ta powtarzała się perjodycznie co kilka tygodni i przebieg jej dosięgał nawet dziesięciu dni, poczem budziła się we mnie energja, chęć do życia, pragnienie słońca, radości i znowu stawałem się człowiekiem energicznym, umiejącym zdobywać gorzki chleb codzienny, czerpiąc ze świata wszystko, co się ludziom należy.

Chandra, na którą zwykle zapadałem, miała zazwyczaj tak ciężki przebieg, że absolutnie żadne rozrywki nie mogły wyrwać mnie z jej szponów. Całemi dniami siedziałem milczący i ponury, zamknięty w czterech ścianach pokoju, polecając wszelkie zaczęte przeze mnie interesy przyjaciołom.

Jeżelim wtedy nie targnął się na własne życie, to chyba tylko dzięki zupełnej bezsilności woli, odrętwieniu myśli i czynów. Idea samobójstwa wymaga do pewnego stopnia hartu woli i zdecydowania, a ja na to zdobyć się nie mogłem. W takich chwilach, kiedy poprostu krzyczeć mi się chciało, pod wpływem nieokreślonej cichej, drzemiącej rozpaczy, w chwilach buntowania się duszy przeciw straszliwej apatji, zrywałem się,

ściskałem głowę rękoma, jęcząc i wzdychając naprzemian. Chandra jednak zwyciężała, paraliżując każdy żywszy odruch mego ciała i duszy. Padałem wówczas złamany na łóżko lub fotel, ażeby przetrwać bez ruchu kilkanaście godzin aż do wyzdrowienia.

Otóż od pewnego czasu uwagę moją zwróciły charakterystyczne objawy w czasie trwania choroby. Gdy chodziłem po pokoju bez celu, potrącając meble, potykając się na dywanie, odczuwałem wyraźnie, że hałas powstający tą drogą, nie pochodził ode mnie. Szmer koków nie był szmerem mojego chodu, westchnienia, jęki i przekleństwa wydobywały się jakby z innej piersi. Wszystko to odczuwałem raczej nerwami, mózg mój bowiem pogrążony w odrętwieniu nie był zdolny do chwytania wrażeń wewnętrznych i zewnętrznych.

Dla lepszego określenia tego zjawiska muszę zaznaczyć, że poprostu wyczuwałem obecność innej osoby w pokoju, dziwnie mi znajomej. Nie był to duch żadnego zmarłego przyjaciela ani krewnego! Nie był to również duch obcy. Czułem, jak gdybym to ja hałasował, widząc jednocześnie, że żadnego w tem udziału nie biorę. Pojmowanie tego faktu nie skrystalizowało się jeszcze dostatecznie w moim mózgu i nie przybrało żadnych konkretnych zarzutów. Czułem, że tak jest, a nie inaczej, że to się dzieje, a nie co innego.

Za słaby fizycznie i duchowo nie zdobyłem się na reakcję i chęć zanalizowania zjawiska, obserwując je biernie i apatycznie. Po kilku dniach jednak pewne szczegóły, na pozór drobne, których istnienie przypisać było można halucynacji, poczęły budzić w mej duszy strach niczem niewytłumaczony. Gdy sięgałem po szklankę wody lub gazetę, wydawało mi się, jakbym dwie ręce posiadał u prawego boku, lub też że ręka moja ulegała rozdwojeniu. Gdym okiem rzucił do lustra widziałem, że obok mej twarzy widnieją mgliste zarysy jakiejś obcej głowy. Po bacznem wpatrywaniu się złudzenie pierzchło, pozostawiając jednak dziwnie mocne przekonanie o prawdziwości i realności faktu.

Tymczasem szmery w moim pokoju nabrały pewnej charakterystycznej cechy. Mianowicie nie potrzebowałem ruszać się, ażeby złowić uchem hałas, wytwarzany przeze mnie w postaci odgłosu kroków, przesuwania mebli, szelestu ubrania itp. O ile dawniej słyszałem w tych szmerach pewne szmery obce, będące jakby echem moich myśli, o tyle obecnie mogłem się w nie wsłuchiwać, siedząc spokojnie bez ruchu, trwały one bowiem nadal.

Razu pewnego zdarzyła mi się następująca rzecz: chcąc usiąść w fotelu, zbliżyłem się do niego i jakiś głos wewnętrzny lub jeśli można rzec, instynkt począł mi szeptać, że miejsce jest zajęte, aczkowiek nikogo nie widziałem. Nie zważając na to, usiadłem i doznałem oszałamiającego wrażenia, że siedzę komuś na kolanach. Z naciskiem stwierdzam, że na fotelu nikt nie siedział, a jednak wrażenie było tak silne, że zerwałem się z głośnym krzykiem przestrachu.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym życie moje zmieniło się w piekło dantejskie, pełne niepokoju, wiecznej trwogi i śmiertelnych wizyj. Było to wieczorem o zmroku. Po tygodniowem przebywaniu w domu, czując, że chandra znikła i że powoli odzyskuję równowagę duchową, postanowiłem nazajutrz wyjść na miasto i jąć się z powrotem swoich interesów. Dziwne szmery i hałasy od kilku dni nie powtarzały się, przeto cieszyłem się myślą, że będę mógł wyspać się spokojnie choć przez jedną noc, aby z nowemi siłami stanąć do pracy. Wziąwszy kandelabr sześcioramienny z zapalonemi świecami, udałem się do sypialni. Przechodząc obok wielkiego lustra, wiszącego w pokoju, rzuciłem okiem na odbicie mej postaci i zadrżałem. Za mną w niewielkiej odległości stał człowiek uderzająco do mnie podobny. Nos ten sam, oczy te same, postać i ubranie to samo. Oberwowaliśmy się nawzajem w milczeniu, wpatrzeni w nasze odbicia na srebrzystej powierzchni lustra. Ja zastygłem bez ruchu, z ręką wyciągniętą przed siebie i trzymającą świecznik. Głęboka cisza panowała w całym domu. Świece paliły się jasno, trzaskając wesoło, a roztopiona stearyna wskutek pochyłego trzymania świecznika oblepiała mi palce. Wreszcie kandelabr runął na ziemię, świece połamały się i pogasły, a ja, dławiony spazmem szalonego strachu osunąłem się na kanapę, wymachując jak warjat rękoma.

Każdemu z państwa wyda się zrozumiałem, że noc tę przeleżałem w tem miejscu, gdzie upadłem. Rozwartemi szeroko oczyma wpatrywałem się w ciemność, oczekując lada chwila powtórzenia się straszliwej wizji. Bać się własnej postaci jest dość zabawne, ale w sytuacji mojej rzecz taka przestawia się zrozumiale. Przedewszyskiem wierzyłem święcie, że nie ulegam halucynacji, przeżyte bowiem wrażenie tak dla mnie silną posiadało argumentację, że gotów byłem sprzeczać się z każdym, ktoby ośmielił się sądzić inaczej. Powtóre nie starałem się analizować zjawiska, jako dość ciekawego dla nauki, gdyż nie miałem ku temu zdolności ani chęci. Cała moja rola polegała na strachu. Poprostu bałem się — i nic więcej!

Druga potężna wizja wstrząsnęła całem mojem jestestwem w tydzień po opisanym wyżej fakcie. Wracałem do domu, zmęczony całodzienną bieganiną po mieście. Na schodach panowała ciemność, przeto zapaliłem zapałkę, oświetlając sobie drogę do mego mieszkania. Przy samych drzwiach rzuciłem zapałkę na ziemię, chcąc wydobyć klucze z kieszeni. Wtem ku memu zdziwieniu spostrzegłem wydobywające się blade światło przez dziurkę od klucza... Ktoś widocznie zapalił lampę w moim gabinecie. Z pewnością, korzystając z mojej nieobecności, zakradł się złodziej i plądruje mi po szufladach. Wyjąłem rewolwer i nacisnąwszy zlekka klamkę próbowałem otworzyć drzwi. Były zamknięte. Wziąłem tedy klucz i z ogromnym napięciem uwagi, starając się nie czynić hałasu, otworzyłem je. Znalazłem się w przedpokoju, z którego przez otwarte drzwi widać było oświetlony gabinet. W palcie i kapeluszu na głowie począłem się skradać cichemi krokami. Przy biurku, oświetlony do połowy, siedział mój sobowtór. Podobieństwo było tak uderzające, że poprostu nie wiedziałem, czy to ja stoję we drzwiach, czy też siedzę przy biurku.

Ze zdrętwiałej ręki wypadł mi rewolwer, a serce poczęło bić rytmem mocnym, niespokojnym. Rozsądek i decyzja opuściły mnie nagle. Była jedna rzecz, która każdy mój nerw zatruwała jadem szalonego strachu i przerażenia.

Aczkolwiek twarz sobowtóra była moją twarzą, jednak, przy zachowaniu idealnej analogji, między naszemi twarzami była olbrzymia różnica i to właśnie stało się przyczyną moich nieszczęść i katastrofy. Twarz jego cechował wprost nieziemski spokój. Nie należy brać słowa „nieziemski“ w znaczeniu słodyczy, upojenia lub zharmonizowania się rysów w pewien wyraz pogody lub zamyślenia. Był to spokój, który przerażał swą treścią, który budził najwyższy lęk i przerażenie, który odpychał wprost brakiem życia i uczuć. Twarz jego była to maska, w której niktby, najzdolniejszy nawet psycholog, nie odnalazł śladu zdziwienia, zadowolenia, smutku, przestrachu, pogardy, wesołości itp. itp. Wielka wspaniała obojętność i zimny spokój osiadł na niej.

Bez jednego słowa sobowtór mój zwrócił zwolna głowę i spojrzał na mnie. Spojrzenia nasze zwarły się i zakrzepły w bezruchu. Wzrok jego działał na mnie, jak wzrok węża na ptaka. Czułem, że słabnę. Straszliwy nieziemski spokój, rozlany na jego twarzy, burzył mą krew i tamował oddech. Pot zalewał mi czoło, język wysechł, lecz stałem wciąż, jak zaczarowany.

Naraz posłyszałem jakiś hałas na schodach. Ktoś szedł na górę, kaszląc i postukując laską.

To przywróciło mi zdolność ruchu. Schyliwszy się szybko po rewolwer, wymierzyłem prosto w twarz sobowtóra i pociągnąłem za cyngiel.

Rozległ się huk i brzęk rozbitego szkła. Lampa zgasła.

Jednym skokiem znalazłem się przy kontakcie i zapaliłem drugą lampę, wiszącą u sufitu pośrodku pokoju.

W fotelu przy biurku nie było nikogo.

Długi czas minął, zanim przyszedłem do siebie i uspokoiłem się cokolwiek, tłumacząc powstanie wizji, jak również szmery i hałasy w mojem mieszkaniu, właściwościami medjalnemi, jakiemi, być może, obdarzyła mnie natura. A jednak przeciw logice i chłodnemu rozsądkowi, opierającemu się na faktach naukowych i zależności zjawisk anormalnych od wrażliwości nerwów, protestowało wielkim głosem serce, oszalałe ze strachu. Godziłem się na wszystko, przyznawałem każdej tezie rację istnienia, czując jednocześnie, że to, co się ze mną dzieje, nie może podlegać żadnemu szablonowi.

Jeśliby kto zapytał się, jakiego rodzaju były te zjawiska i co o nich sądzę, do dnia dzisiejszego nie mam na to konkretnej odpowiedzi. Wielu z nas tłumaczyłoby sobie pewnie rozdwajaniem jaźni osobowej, istnieniem drugiego ja, oderwanie się ciała astralnego lub poprostu halucynacją, czy to pod wpływem alkoholu, którego zresztą nie używałem, czy też zaburzeń nerwowych. Ja odrazu zająłem odmienne stanowisko. Zacząłem się bać. Strach ten wypływał jakby nie ze mnie, a z zewnątrz i wsączał się w głąb mego serca, mrożąc i paląc ogniem naprzemian.

W trzy dni później sobowtór ukazał mi się w cukierni, w biały dzień o godzinie 11-tej przed południem. Jadłem drugie śniadanie i podnosiłem właśnie ciastko do ust, gdy nagle zobaczyłem go przy sąsiednim stoliku.

Kiedy i jak wszedł, nie zauważyłem. Byliśmy do siebie tak podobni, że gdyby przedemną nie stała filiżanka kawy i talerz z ciastkami, a jego stolik nie był pusty, można byłoby wziąć jego za moje odbicie w lustrze.

Ja sam narazie nie mogłem sobie zdać sprawy, kto z nas właściwie jest Williamem Reedem, a kto jest sobowtórem.

Tymczasem publiczność, znajdująca się w cukierni, zwróciła uwagę na uderzające nasze podobieństwo, bowiem poczęto szeptać i obserwować nas z uśmiechem.

Poczułem drżenie w całem ciele i przyspieszone bicie serca. Były to pierwsze oznaki zbliżającego się paroksyzmu strachu. Tchnąca ohydnym spokojem i straszliwą obojętnością twarz mego sobowtóra działała na mnie zabójczo.

Nie wiedząc sam co zrobię, ciężkim krokiem zbliżyłem się do stolika, przy którym siedział mój sobowtór i ostro spojrzałem mu w oczy. Ów oczu nie spuścił i patrzał w dalszym ciągu. Gnany żądzą mordu i nienasyconem pragnieniem zemsty za mój strach i przerażenie, wyprostowałem się nagle i z góry trzasnąłem zaciśniętą pięścią w znienawidzoną przeze mnie głowę. Biłem w nadziei, że tem uderzeniem rozwiążę zagadkę psychiczną, że pomszczę się za noce bezsenne, spędzone w objęciach trwogi i śmiertelnego przerażenia, że wywołam na znienawidzonej przeze mnie twarzy wyraz bólu, przestrachu lub oburzenia.

My, Anglicy, od młodych lat ćwiczymy mięśnie ciała i pielęgnujemy je odpowied-

nio, to też uderzenie moje było co się zowie uderzeniem! Całą sprawność muskułów i całą ich siłę skierowałem w jeden punkt, którym była jego głowa. Trzasnął marmurowy blat stolika, ręka zalała się krwią.

Sobowtór znikł bez śladu.

Ludzie, będący świadkami tego zajścia, powstawali z miejsc. Rozległy się okrzyki zdumienia.

Pozostawiwszy dwa banknoty, jako odszkodowanie dla właściciela cukierni, wybiegłem jak warjat na ulicę.

Od tego dnia rozpoczęła się dla mnie dzika gonitwa z własnym moim cieniem. Po pięć, po sześć razy dziennie zjawiał się nagle przed memi oczyma ze zwykłą sobie maską śmiertelnego spokoju i obojętności na twarzy, poczem zniknął raptownie. Nie tylko ja, lecz ludzie obcy, będący przypadkiem świadkami owych spotkań, widzieli go wyraźnie. Nie próbowałem strzelać ani bić, zgóry przeświadczony o bezcelowości tego czynu. Cierpiałem tylko w milczeniu, nie rozumiejąc i nie starając się dociec przyczyny mojej choroby psychicznej. Do mieszkania swego przychodziłem tylko na noc, ażeby, po zażyciu proszków nasennych, zasnąć snem sztucznym, dającym odrobinę złudzenia spokoju i ciszy. We śnie nie zjawiał się wcale. Skoro nad ranem obudziłem się, wciągałem pospiesznie ubranie z zamkniętemi oczyma, bojąc się otworzyć w obawie ujrzenia jego ohydnej twarzy. Niegolony oddawna zarost czynił ze mnie więźnia, który wyrwał się na wolność, zaś ruchy niepewne i bojaźliwe spojrzenia, które rzucałem, ażeby się upewnić czy „on" mnie nie ściga, słusznie mogłyby wzbudzić podejrzenie, że jestem tropiony przez władze policyjne.

Istnieje jeden rys charakterystyczny, cechujący doskonale nikczemność i wstrętne tchórzostwo każdej natury ludzkiej, a mianowicie: z chwilą, kiedy niewierzący człowiek, mający siebie za zdobywcę świata, za istotę nie podlegającą żadnym zabobonom religijnym i sentymentom moralnym, znajdzie się w szponach czegoś strasznego i nieznanego, co do tej pory nie było objęte żadną doktryną — wówczas powraca on do opuszczonego przez się Boga z dziwną pretensją, ażeby go obronił przed tem nieznanem i nie dał mu zginąć, powołując się na Jego miłosierdzie.

Aczkolwiek kilkanaście lat temu pękła ostatnia nić, łącząca mnie z religją i całe swoje jestestwo pogrążyłem w zaciekłej walce o byt, interesując się tylko tem, co było widzialne i namacalne, jednak pod wpływem strasznych przeżyć i nieustannego strachu, myślą skierowałem się do Boga z jakąś nieśmiałą nadzieją, że oto On osłoni mnie Swoją potęgą.

Ratując się przed obłędem, poszedłem do kościoła i poprosiłem księdza, ażeby mnie wyspowiadał. Skoro znalazłem się przed konfesjonałem doznałem dziwnego uczucia. Zdawało mi się, że jestem małym chłopcem, który zmartwiony i zasmucony czemś, idzie do mamy, ażeby na jej kolanach wypłakać swój żal i smutek i zaczerpnąć słodkiej otuchy i ukojenia.

Ksiądz, poczciwy staruszek, z białemi jak mleko włosami, czekał cierpliwie, przymknąwszy oczy. W kościele nie było nikogo. Pustka i cisza działały na mnie kojąco. Na głównym ołtarzu krzyż wyciągał miłośnie ramiona, w których sądziłem, że znajdę ucieczkę przed straszliwemi wizjami.

Rozrzewnienie poczęło mi ściskać gardło, oczy zwilgotniały i nastrój dziwnie radosny zawitał do serca. Odprężałem się, jak człowiek po ciężkiej chorobie, któremu stan zdrowia pozwala przejść się po pokoju i użyć cokolwiek ruchu. Zachwycająca podróż! Daje ona tyle radości i uśmiechów.

Teraz — albo nigdy!

Wtem w arkadach sklepienia kościelnego rozległo się ponure echo kroków ludzkich. W przeraźliwej ciszy i pustce stąpania podobne były do grzmotów, z których każdy wbijał mi się w serce, huczał w mózgu i podnosił włosy na głowie.

Ktoś szedł w naszą stronę. Ksiądz, jakby nic nie słysząc, czekał cierpliwie z przymkniętemi oczyma, a ja zaczynałem pojmować, kto idzie ku mnie a właściwie po mnie.

Chciałem krzyczeć, chciałem płakać, chciałem paść do nóg księdza i błagać o ratunek i zmiłowanie — lecz język przyrośnięty do podniebienia, nie mógł się poruszyć. Wydałem z siebie jakiś bełkot niezrozumiały i — urwałem...

Odgłos kroków ustał. Z trudem odwróciłem głowę.

Za mną stał „on", mój sobowtór. Kamienną twarz jego, kpiącą wprost z życia swoim nadludzkim spokojem, rozjaśniał mały, szyderczy uśmieszek. Właściwie był to ironiczny grymas ust.

Mój sobowtór śmiał się!

Zerwałem się z klęczek, krzyknąłem strasznym głosem i puściłem się pędem przez całą długość kościoła ku wyjściu. Do uszu moich dobiegła gama niesamowitego śmiechu. Nie wiem może to on, a może ja się śmiałem.

Dwa tygodnie szalonej męczarni wyczerpały mnie do tego stopnia, że życie moje zmieniło się w jakiś półdziki sen, przerywany halucynacjami. Mam wrażenie, że były to początki obłąkania. Szukałem zapomnienia wszędzie, gdzie tylko znaleźć je można było. Zwiedziłem wszystkie dancingi, wszystkie nocne spelunki, poznałem wytworne mieszkania, lecz ani szampan, ani zabawa w najbardziej hałaśliwem gronie, ani rozpusta wyuzdana nie zdołały we mnie zagłuszyć trwogi, wyjącej w sercu. Gdzie ja, tam i on był. Gdzie okiem rzuciłem — widziałem twarz jego, nacechowaną cynicznym spokojem, bez najmniejszego wyrazu, bez myśli, bez pragnień.

Tymczasem skromny kapitalik, jaki miałem w zapasie na czarną godzinę, wyczerpał się. Moje przedsiębiorstwo, widząc, że przestałem zupełnie pracować, wymówiło mi posadę. Zostałem bez środków do życia, odepchnięty i uważany za warjata przez ludzi, opuszczony przez Boga, sam jeden, skazany na łaskę lub niełaskę nieznanych potęg psychicznych.

Bez miłości, bez słowa pociechy, bez iskry nadziei w sercu, począłem nienawidzieć wszystko, co niegdyś pięknem mi się wydawało. Na żadną twarz nie mogłem patrzeć bez odrazy. Ścigany przeklętą wizją wałęsałem się z miejsca na miejsce, unosząc z sobą wieczny strach i trwogę. Uczucie to tak wielkie posiadało napięcie, że twarz moja była ustawicznie skrzywiona paroksyzmem strachu i przerażenia. Widok taki odstraszał ludzi i mnie samego odtrącał od lustra. Nie mogłem wprost patrzeć na nią i na twarz mego sobowtóra. Im więcej stawałem się wcieleniem męki cierpienia, tem więcej sobowtór mój był spokojny i obojętny na wszystko.

Postanowiłem wreszcie popełnić samobójstwo. Można było to nazwać również zabójstwem. Zresztą, jak kto chce. Skoro on był mną, a ja nim — samobójstwo stawało się zabójstwem a zabójstwo — samobójstwem. Szczytem mych marzeń było uchwycenie takiego momentu, w którym mógłbym strzelić mu w samą twarz. Myśl ta stała się dla mnie osłodą w cierpieniu.

Czekałem chwili odpowiedniej.

Dnia pewnego idąc ulicą zauważyłem sobowtóra mego, śpieszącego za mną. Szedł w niewielkiem oddaleniu, z rękoma w kieszeniach, z maską śmiertelnego spokoju na twarzy. Radość wstrząsnęła całą moją postacią. Jak wówczas w kościele, pomyślałem sobie:

— Teraz albo nigdy!

Obejrzałem się.

Zamiast sobowtóra ujrzałem za sobą otyłą postać pastora, idącego z uśmiechem na tłustej, lśniącej potem twarzy. Człowiek ów machał rękoma, widocznie w celu powiększenia szybkości swych nóg i co chwila ocierał czoło kraciastą, wielką chustką.

Zdębiałem. Przez pewien czas przeżuwałem w milczeniu zdumienie, poczem, nie mogąc sobie w żaden sposób wytłumaczyć tej metamorfozy, rzuciłem znowu okiem, celem sprawdzenia, czy nie ulegam przypadkiem halucynacji.

Zamiast pastora zobaczyłem mego sobowtóra!

I tak co chwila sobowtór mój stawał się pastorem, to znów przybierał naturalną swą postać.

Poczęło mnie to denerwować. Jakaś dziecinna myśl błysnęła w mózgu, że sobowtór mój, czując śmierć blisko, szuka wybiegów, w celu zmylenia mej czujności. Dwadzieścia razy oglądałem się poza siebie i za każdym razem widziałem to pastora, to znów sobowtóra. Wreszcie pastor zniknął z pola mego widzenia, a natomiast znana mi ohydna twarz poczęła płynąć za mną.

Kurczowo począłem ściskać kolbę rewolweru w kieszeni. Aczkolwiek dużo nas ludzi mijało, odgłos kroków moich i sobowtóra bębnił mi w uszach przeraźliwie. Czułem, że blednę i bicie serca zaczyna stawać się rytmicznem. Obejrzałem się. Tak, to on! Jeszcze raz! Napewno on!

Odwróciłem się raptem, wyrwałem z kieszeni rewolwer i przyłożyłem lufę do znienawidzonego przeze mnie łba.

Nagle w chwili, kiedy cyngiel poruszył się, doznałem wrażenia jak gdybym otrzymał straszliwy cios po czaszce. Z pod lufy rewolweru patrzyły na mnie ze strasznem przerażeniem oczy oszalałego ze strachu pastora.

Zapóźno! Huknął strzał i człowiek, który mi w życiu nic nie zawinił, osunął się do moich nóg, oblany krwią. Długą chwilę stałem nad trupem, czekając na metamorfozę. A nuż dobroduszna, poczciwa twarz pastora zmieni się w ohydną maskę mego sobowtóra?

Resztę państwo wiecie! Na zakończenie zmuszony jestem zaznaczyć, że od dnia zabójstwa pastora O'Brien, sobowtór znikł bez śladu. Nie wiem i nie rozumiem, jaka łączność zachodziła między zabitym przezemnie pastorem a sobowtórem, jak również, co za wpływ wywarła śmierć jego na halucynacje, którym przez tak długi czas podlegałem. Wiem tylko, że jestem teraz zdrowym, normalnym człowiekiem, którego tajemnicze siły psychiczne uczyniły narzędziem zbrodni!



GWAR BOISKA — I...



...CISZA PRZYRODY

TAM GDZIE ZACHÓD STYKA SIĘ ZE WSCHODEM



»Atteneul Roman« w Bukareszcie.



»Polonia« w porcie Constancy.



Wybrzeże morza Czarnego koło Constancy.

A więc jedziemy do Rumunji. Od stacji granicznej Grigore Ghika Voda przejeżdżamy wśród łanów kukurydzy. — Jest to jedno z bogactw Rumunji. Z okien wagonu restauracyjnego przy dobrem, a przedewszystkiem taniem winie, widzimy pasmo Karpat, a w okolicach Buzau pasmo górskie pokrywają wykrzykniki szybów wiertniczych. Wygląda to bardzo oryginalnie.

Bukareszt. Nazwano go małym Paryżem. Dlaczego? Chyba, ze względu na to, że łatwo o nim można powiedzieć: śpiew, wino, kobieta. I rzeczywiście kobiety są tu piękne, bodaj właśnie zgrabne ich figury, róż i pomadka umiejętnie stosowane, najbardziej zbliżają Bukareszt do Paryża. — Niewątpliwie widok ich na ulicach pięknego miasta nadaje mu specyficzny charakter.



Typowa dla dzielnicy ogrodów w Bukareszcie willa o charakterystycznym stylu.

A potem... samochody, samochody i jeszcze raz samochody. Nasza stolica i wygląd jej ulic, to pod względem motoryzacyjnym — małe miasteczko! Mało! Stare, warszawskie taksówki, popularne klekoty i brukotłuki to praojce, czy pradziadki tutejszych aerodynamicznych taksówek. — Wszystkie nowoczesne, piękne, tanie w użyciu. Świadczy o tem dla porównania fakt, że benzyna jest tu mniej więcej o połowę niższą w cenie. Gdy się widzi te wozy i porównuje się je z warszawskiemi taksówkami, to człowiek zaczyna rozumieć ideę ogumienia wozów i zaprzęgów konnych. Przynajmniej to oryginalne. Omal możnaby powiedzieć o nas, że motoryzacja jest ciągniona za głowę... konia.

Ten rozmach objawia się w stolicy Rumunji nietylko w motoryzacji: Wszędzie widać burzenie starych domów, budowę nowych kamienic — drapaczy chmur.

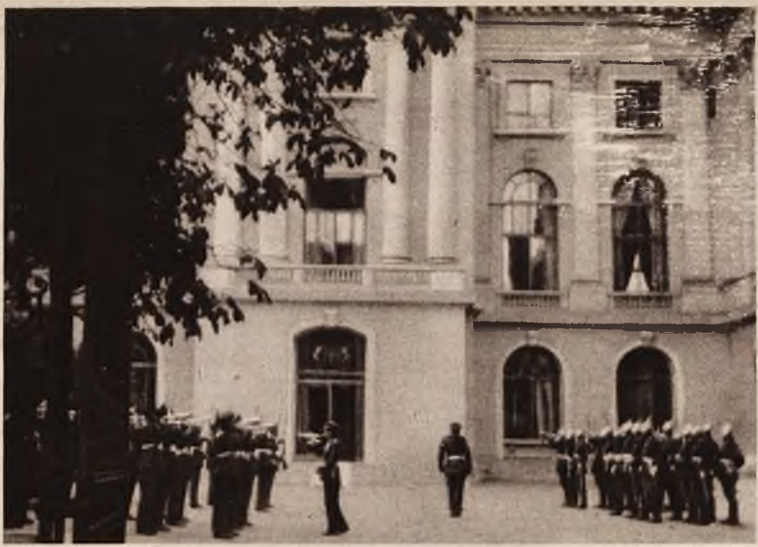
To amerykańskie tempo, nowoczesne samochody, piękne zabytki, wielka ilość ogrodów i zieleńców, szerokie ulice i aleje, to mimo położenia geograficznego — Zachód Europy. Ale widać również charakterystyczne szczegóły, które znowu przypominają piękno Wschodu. Przedewszystkiem w okresie letnim pełno na ulicach wykrzykujących przekupniów z charakterystycznemi nosidłami na ramionach, z dwoma koszami owoców. Bardzo to piękne wygląda. Przekupień często o twarzy starego Turka z południowych stron Wielkiej Rumunji, sprzedaje po bajecznych cenach złote ogromne brzoskwinie, czy dojrzałe winogrona. Mała waga pomaga w interesie.

Poza tem nieodłącznie związani z wyglądem ulicy bukareszteńskiej są liczni pucybuci. Najczęścią posiadają oni tajemniczą wybitnie wschodnią twarz, a również tajemnicę czyszczenia butów. Jest to cały, tradycją uświęcony, obrzęd. Szczotki, najrozmaitszego koloru mikstury, błyskawicznie i ustawicznie zmieniane przez pucybuta — wywołują wspaniałe efekty. Najstarszy nawet but wygląda „młodzieńczo", jak po operacji conajmniej Woronowa.



Olbrzymie pola kukurydzy są dla turystów ciekawym terenem wycieczkowym.

Dwa te szczegóły ulicy bukareszteńskiej łącznie ze wspaniałemi powozami, urządzonemi naprawdę z przepychem wschodnim, przypominają, że niedaleko stąd jest już



Zmiana warty na podworcu królewskiego pałacu w Bukareszcie.



Malownicze chaty góralskie nadają wsi rumuńskiej urocze piętno.

tzw. „bliski Wschód“. Kontrasty tego rodzaju można zaobserwować w Rumunji niejednokrotnie.

Ale skoro już jesteśmy na ulicy bukareszteńskiej, to idąc najpiękniejszą ulicą i największą Calea Victorią, musimy zaobserwować pod pałacem królewskim wojsko rumuńskie. To gwardja królewska trzyma tu straż. Na zamku powiewa flaga — król Karol jest w stolicy. O godz. 11-tej rano odbywa się zmiana warty. Żołnierze w imponujących pikielhaubach bogato złoconych, barwnych strojach, w białych rękawiczkach, dokonują przy zachowaniu ścisłej etykiety zmiany warty. Przypatruje się temu zawsze entuzjastycznie nastrojona do swego wojska ulica bukareszteńska.

Wspomniałem na początku, że największe wrażenie, jakie Bukareszt wywiera na turyście, możnaby zawrzeć w tytule operetki „Kobieta, wino, śpiew“. Jeśli idzie właśnie o to wino i śpiew, to są one tutaj bardzo liczne i bardzo urozmaicone. I Rumuni lubią się bawić i umieją się bawić. Gdy się ich ogląda w licznych lokalach, to wydaje się bliskiem prawdy, słyszane czasem zdanie, że Polacy pomimo wszystko... są smutnym narodem.

Tutaj rozbawienie, radość, beztrosko wychodzi z lokali i przenosi się na ulicę, widać ją wszędzie na ulicach w roześmianych przechodnach. Korzystaliśmy z tego w pełni. Gorzej z tem jest w naszej Ojczyźnie. Proszę spróbować przechodzić ulicę z rozbawioną „facjatą“... Coby się to działo! Policja robi ruch — bo jegomość ma niepewny wygląd, pewnie pijany. A na wszelki wypadek Izba Skarbowa napewno zbada księgi, bo to jakaś niepewna historja, takie rozbawienie! Tutaj tego niema. Troski się zostawia w biurze, czy w domu.

Oczywiście nastrój ten udziela się przyjezdnym, stanowi magnes dla turystów. — A temwięcej, że Polacy szczególną cieszą się tu sympatją. Nie można się dziwić więc, że jak już przyjeżdżają, to na wyjazd doprawdy nie mają ochoty. Znam wypadek, że było dwóch młodych turystów dziennikarzy z Polski, którzy spakowani, przez dwa tygodnie „wyjeżdżali“ z Bukaresztu! Mieli jechać do Konstantynopola. Dla pewności bilety już zostały zakupione. Wreszcie nastąpiła ta normalnie decydująca chwila, gdy rzeczy znalazły się w taksówce, a hotel za taksówką. Wszystko było w porządku. Jednak widocznie pech chciał, że pospieszny zdążający nad morze Czarne do Constanzy, a mający połączenie bezpośrednie ze statkiem, udającym się nad Bosfor, nie czekał. Pojechał! Podobno dwaj turyści w niedługim czasie spieniężyli w uprzejmem biurze przedstawiciela linji Gdynia—Ameryka bilety okrętowe. W rezultacie jeszcze tydzień zabawili w Bukareszcie. Podobno bagaże znajdowały się dla pewności w przechowalni na dworcu...

Piękno Rumunji — to nietylko Bukareszt. Dla turysty kraj ten stanowi niezwykłą rozpiętość wrażeń. Wspaniałe Karpaty, piękne morze Czarne. Wystarczy pojechać do letniej rezydencji króla, do Sinaia, by móc oglądać wspaniałe szczyty górskie. — Niemnej piękną jest okolica Podkarpacia. Kryją się tu u stóp potężnego masywu piękne i liczne miasta: Sighisioara, Sibiu, Brasov, Campulung i wiele innych.

Takie np. Sibiu jest naprawdę pięknem, estetycznem miastem, pełnem zabytków, wąskich uliczek. Założona przez kolonistów Sasów, stanowi jedno z naojoryginalniejszych miast Rumunji. Trudno zresztą wymieniać te wszystkie miasta i miasteczka, pełne swoistego uroku. Jest jeszcze Campulung, znane z wyrobów wspaniałych kilimów, zapasek i wiele innych.

Wreszcie o potędze Rumunji, jej wzroście w przyszłości daje wyobrażenie okręg przemysłowy zachodniej Rumunji, a przedewszystkiem zagłębia naftowe Campina i Moreni. Rumunja przecież zajmuje pierwsze miejsce w produkcji europejskiej nafty, a siódme w światowej.

Trudno pominąć rumuńskie morze. Brzeg jego położony jest mniej więcej na tej samej szerokości co Wenecja. Stąd wspaniały klimat. Plaże o złocistym piasku są w Mamaia koło Contanzy. A dalej na południe w Balcicu, Eforia, czy Carmen Silva. Rapid łączący Bukareszt z Constanzą jest nietylko najszybszem połączeniem w Rumunji, ale też posiada jeden z najdłuższych wiaduktów kolejowych. Przerzucony nad deltą Dunaju, posiada blisko 30 km długości.

Piękny kraj i bardzo bogaty kraj. Trudno wyrazić to wszystko w krótkim feljetonie. Niemniej niech tych kilka skromnych wobec jego piękna i oryginalności pochwał, będzie usprawiedliwieniem dla tych, którzy spóźniają się z powrotem z urlopu, spędzanego w tym kraju. Aby to zrozumieć, trzeba tam być...

Dr Ignacy Kleszczyński.



Cerkiewka zamkowa i klasztor w Sinaja.
Wszystkie zdjęcia fot. Dr. Ignacy Kleszczyński.



Zamek królewski w Sinaja leży w pośrodku dużych lasów.



Podkarpacie rumuńskie obfituje w przepiękne widoki.



Powyżej: Loda Halama na scence teatru „8·15" w Warszawie.



Na prawo: Irena Eichlerówna na scenie Teatru Nowego w Warszawie.

À la minute

À la minute.... „Świetny tytuł!" — powiedziałem redaktorowi „Asa", gdy komponował „rozkładówkę", jaką w tej chwili oglądacie. Bo trudno lepiej scharakteryzować rodzaj i znaczenie fotografij teatralnych, ilustrujących dziś „Asa", fotografij takiego typu, jakich nie spotykamy w żadnem polskiem czasopiśmie, a na jakie rzadko natrafiamy w prasie zagranicznej.

Ale tytuł ten ma tylko drobną wadę: nie jest stuprocentowo ścisły. Powinno być raczej: Sceny, scenki i estrady w ułamku sekundy. Albowiem sposób i czas wykonania owych zdjęć decyduje o ich wartości zarówno artystycznej, jak i dokumentarnej.

Odsłońmy bowiem tajemnice fotografowania przedstawień teatralnych. Zazwyczaj zdjęcia ze sztuk, rewij, lub popisów baletowych dokonuje się na generalnej próbie, nierzadko w atelier fotograficznem (!). Reżyser i aktorzy naśladują wówczas sytuację sceniczną, ale, pozując się, myślą o objektywie, a nie o duchu, treści i wyrazie sztuki, w której biorą udział. Dlatego fotografje teatralne, jakie oglądamy, są ładne, ale niezawsze wiernie oddają rzeczywistość sceniczną. Można się o tem łatwo przekonać, porównując oglądane za gablotkami wystaw lub w czasopismach zdjęcia z sytuacjami scenicznemi na jakie patrzymy z teatralnego fotela. Są nieraz poważne różnice...

Ten wstęp był potrzebny do scharakteryzowania rodzaju zdjęć z teatru, wykonywanych przez dra Azeta i podkreślenia ich wagi.

Pod pseudonimem dra Azeta ukrywa się jeden z wybitnych młodych adwokatów krakowskich, ale i równocześnie wybitny znawca i miłośnik sztuk pięknych. Nie miałem jeszcze sposobnośc spotkać się z nim na sali sądowej, alo byliśmy już, zresztą nieznanymi sobie, sąsiadami na sali teatralnej. Dr Azet co chwila podnosił do oka aparat fotograficzny i jego zbiory były zaraz bogatsze o jeszcze jedno doskonałe zdjęcie.

Doskonałe nietylko ze względu na technikę wykonania, ale przedewszystkiem na swoją treść i wartość. Jego zdjęcia, to dokument, który głównie decydować będzie w historji teatrologji, dając niezawodny obraz, jak wyglądało w poszczególnych momentach przedstawienie, gra artystów, sytuacje sceniczne itd. Jego technika fotografowania pozwala na ujęcie nie pozowanego, ale autentycznego ruchu artysty. A przecież plastyka gry scenicznej, ruchu i gestu decyduje w równej mierze o wartości kreacji, jak głos i jego modulacja. Jeszcze ważniejsze zastosowanie ma ten sposób fotografowania widowisk przy popisach baletowych, gdyż precyzyjniej i niespodziewanie odsłania nam piękno (względnie usterki) plastyki ciała i ruchu tancerza.

b.



W kole: Lopek Krukowski na scence „Cafe-Clubu" w Warszawie.



Na prawo: Lena Żelichowska na scenie teatru przy ul. Karowej w Warszawie.

Sceny — scenki i estrady à la minute!



Powyżej: Zespół taneczny Very Zahradnik na scenie teatru „Bagatela" w Krakowie.



Na prawo: Miła Kołpikówna na estradzie Sali Saskiej w Krakowie.





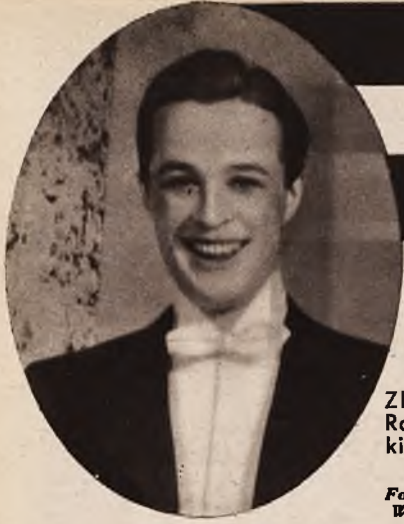
Od lewej: Halina Radlińska na estradzie Starego Teatru w Krakowie. — Mira Zimińska i Konrad Tom (w środku zdjęcia) tym razem przed kurtyną na widowni teatru przy ul. Karowej w Warszawie.



Helena Grossówna i Junosza Stępowski na scence „Cyrulika Warszawskiego"

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. Dr. AZET — KRAKÓW.

ARTYŚCI
NA CENZUROWANEM
ZBIGNIEW RAKOWIECKI



Zbigniew Rakowiecki... bez maski!
Fot. Forbert, Warszawa.

Operetka to bardzo despotyczna pani. Czego to ona nie wymaga od swych niewolników! Taki np. amant, kreujący nieodzowną w operetce partję wodewilową, ileż on powinien posiadać doskonałości, by godnie sprostać swemu zadaniu. Oprócz „ujmujących" warunków, musi być pierwszorzędnym komikiem, mieć wrodzony humor i temperament, powinien śpiewać jak Moryś Chevalier i tańczyć przynajmniej jak sam Fred Astaire.

We wszystkie te walory uposażyła hojnie natura młodego amanta operetkowego Teatru 8.15, Zbigniewa Rakowieckiego, który też dzięki temu zdobył sobie w krótkim przeciągu swej pracy scenicznej pełną sympatję warszawskiej publiczności, jak niemniej uznanie prasy i sfer fachowych.

Trzeba bo widzieć tego chłopca na scenie. Młodość i temperament aż kipią z każdego gestu i słowa. Głos? Właściwie żaden, ale cóż to szkodzi, gdy piosenki podane są z nieporównanym wdziękiem i humorem, których nie zastąpi najdźwięczniejszy „metal" i nie da najlepsza nawet szkoła. A jak tańczy! Zdobył sobie przecież tytuł pierwszego stepisty w Polsce. Jeżeli nie jest jeszcze 100-procentowym Fredem Astaire to będzie nim z całą pewnością w niedalekiej przyszłości. Tylko że wtedy porwie go nam prawdopodobnie zagranica i zagraniczny film.

— Gdzie się pan tego wszystkiego nauczył. — pytam młodego artystę.

Pan Zbyszek robi rozbrajająco zawstydzoną minę.

— To jest straszne, co muszę odpowiedzieć na to pytanie. Jestem samoukiem. Jedynie stepować nauczył mnie mistrz tego fachu Radulski, jedyny biały, który tańczył w murzyńskiej operetce.

— Nie ma pan nawet szkoły dramatycznej? — pytam w dalszym ciągu.

— A nie mam.

— A nie uczył się pan śpiewać?

— Też nie!

— Jak się pan wobec tego dostał do teatru?

— O, to bardzo romantyczna historja — odpowiada artysta. — Na deski sceniczne sprowadziła mnie... nieszczęśliwa miłość...

— Mój Boże, taki ładny chłopiec, nieszczęśliwa miłość i scena. Ależ to strasznie interesujące! Musi mi pan koniecznie opowiedzieć tę historję — proszę zaciekawiona, wiedząc, że Zbyszek Rakowiecki cieszy się wielkiem powodzeniem u płci pięknej.

— Moja karjera życiowa miała iść, w myśl życzeń mojego ojca, w zupełnie innym kierunku — rozpoczyna opowiadanie pan Zbyszek. — Po maturze wstąpiłem do Szkoły Nauk Politycznych. Pech chce, że zakochałem się, w dodatku nieszczęśliwie. Przyjaciel mój, artysta operetkowy, widząc, że ze mną źle, namówił mnie, bym dla oderwania myśli od przedmiotu mych westchnień, zabawił się w teatr. Począłem występować jako statysta, śpiewałem w chórach, tańczyłem. Ta „zabawa" zaczynała mi się bardzo podobać. Mniej podobała się mojemu ojcu, ziemianinowi dawnych poglądów, który, chcąc mnie naprowadzić na drogę cnoty, wstrzymał apanaże. Ale i to mnie nie zdołało wyrwać z teatru. Połknąłem już za dużą dawkę trucizny. Biedowałem strasznie, utrzymując się przez pół roku z dziennych honoracyj statysty.

Dopiero, jak to zwykle się dzieje, przypadek zrządził, że dostałem większą rolę w zastępstwie chorego kolegi. Jakoś się udało. Wobec tego dyrekcja powierzyła mi, znów szczęśliwem zrządzeniem łaskawego losu, z powodu wyjazdu zagranicę Wawrzkowicza, główną rolę po nim w operetce: „No, no, Nanette!". — Z rolą tą byłem następnie w Łodzi na gościnnych występach. Potem już się sypnęły operetki jedna po drugiej. „Całus i nic więcej", „Taniec szczęścia", „Gaby", „Wiktorja i jej huzar", a wreszcie gram obecnie w „Kolettcie". W tej właśnie operetce będę miał przyjemność wystąpić gościnnie wraz z naszą primadonną Lucyną Szczepańską w Krakowie, w Teatrze im. Słowackiego.



...i jako „szef reklamy" w operetce „Koletta", granej na deskach Teatru „8.15".
Fot Forbert, Warszawa.

— A po występach w Krakowie, jakie ma pan plany na przyszły sezon?

Młody artysta poważnieje.

— Plany? Hm... prawdopodobnie znów praca w operetce. Chociaż, przyznam się szczerze, że ten dział sztuki teatralnej nie zaspakaja w zupełności mych ambicyj artystycznych. Palę się do komedji, do grania w dramatycznym teatrze. No i do filmu. Wprawdzie nagrywałem już w paru filmach, między innemi „Papa się żeni", „Kochaj tylko mnie", „lecz to wszystko nie to", jak powiada piosenka.

Uśmiech łobuzerski znów powraca na twarz artysty.

— Całe szczęście, że jestem młody, nie mam jeszcze dwudziestu pięciu lat — kończy z wrodzonym sobie humorem. — Może doczekam spełnienia się moich marzeń. A na razie gwiżdżę na wszystko! Jadę za dwa tygodnie do Zakopanego! Od czterech lat, to jest, od kiedy jestem na scenie, pierwszy urlop. Nie chce mi się wierzyć w to szczęście!

Z. Ord.

Dokończenie ze str. 8-mej.

i t. p. Może i w Polsce zobaczymy wkrótce znaczki z widokiem tamy w Porąbce lub Rożnowie?

Dla uzupełnienia notujemy dalsze niewymienione dotychczas w Asie nowości: Belgja przedruk 10/40 c. oraz 2 c. zielony, herb państwa. Pełna serja włoska obejmuje wartości za 10, 20, 25, 30, 50, 75 c. 1.25 L, 1.75+—.75 l, 2.75+1.25 l, 5+3 liry oraz lotnicze 25. 50 c, 1 l, +1 l, 3+2 l. i 5+3 l.

W Luxemburgu z okazji wystawy w Düdellange wydano blok 2×2 fr. w nakładzie 70 tysięcy, tak, że cena już zaraz będzie „słona" (10—14 zł.).

Przez przeoczenie nie podaliśmy swego czasu do wiadomości, że bieżąca węgierska serja została uzupełniona dwoma znaczkami za 5 f. brązowy i 25 f. oliwny — wizerunki poetów Kölcsey'a i Vörösmarty.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

WPan A. S., Lwów. Wartość znaczka, wymienionego przez WPana, jest minimalna: 2 grosze. Jedynie gdyby zamiast kropki po Mk. był przecinek, możnaby za niego otrzymać 50—80 groszy.

PT. Urząd pocztowy Warszawa I. — Dziękujemy za nadesłany komunikat i prosimy o następne.

PT. Urząd pocztowy Skole. — Zamieścimy w następnym numerze.

ADRESY ZBIERACZY:

Jerzy Skwirzyński, Kraków, Wielopole 1. Poszukuje korespondencji z zagranicą.

Milan Schudmek, Kraków, ul. Mikołajska 4 m. 4. Pragnie wymieniać znaczki ze zbieraczami w Marokku, Francji i Rumunji.

Życie towarzyskie i artystyczne

ŚLUB TAMARY WISZNIEWSKIEJ



KSIĄŻĘ KENTU W JUGOSŁAWJI

Na lewo: Przed tygodniem odbył się w Warszawie ślub artystki filmowej p. Tamary Wiszniewskiej z p. Władysławem Mikoszem, dyrektorem i współwłaścicielem wytwórni filmowej „Femika-Film". P. Wiszniewska, niedawno „odkryta" dla filmu, zajęła dzięki wybitnej urodzie i niepowszedniemu talentowi jedno z czołowych miejsc wśród młodej generacji naszych artystów filmowych. Na zdjęciu: Młoda para.

Fot. Halina Zalewska — Warszawa.

Na prawo: Jest nieomal tradycją w królewskim domu angielskim, że jeden z jego członków gra rolę podróżującego przedstawiciela W. Brytanji. Rolę tę pełni obecnie sympatyczny książę Kentu, którego mieliśmy sposobność również powitać w Polsce. Obecnie książę Kentu bawi w Jugosławji w gościnie u swego szwagra księcia-regenta Pawła Karageorgewicza. Na naszem zdjęciu książę Kentu (na prawo) w towarzystwie swego szwagra.



Z TEATRU W POZNANIU



Na lewo: Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio komedję J. Ervine'a „Pierwsza pani Selby" z p. Katarzyną Żbikowską w roli tytułowej. Jako jej partner wystąpił nowo-zaangażowany artysta p. Strzelecki. Na zdjęciu: Scena z pierwszego aktu — stoją od lewej: pp. Królikowska, Jasieczek, Domański, Łabuńska i Żbikowska.

Fot. B. Cichowicz — Poznań.

Na prawo: W niedzielnym swym programie wznowiło Polskie Radjo operetkę p. t.: „Przygoda w Grinzingu", która zostanie nadana z ogrodu stacji krakowskiej przy udziale publiczności i zaproszonych gości. Na zdjęciu: Kompozytor melodyjnej „Przygody w Grinzingu", Adam Lenczowski w karykaturze art. Różyckiego.

PRZED MIKROFONEM



Na polskiej Riwierze

Wolno posuwa się pociąg za Kołomyją. Sapie, staje na każdej stacyjce, powoli zbliżając się do błogosławionej krainy ciepła i słońca, do brzegów polskiej Riwiery — Zaleszczyk.

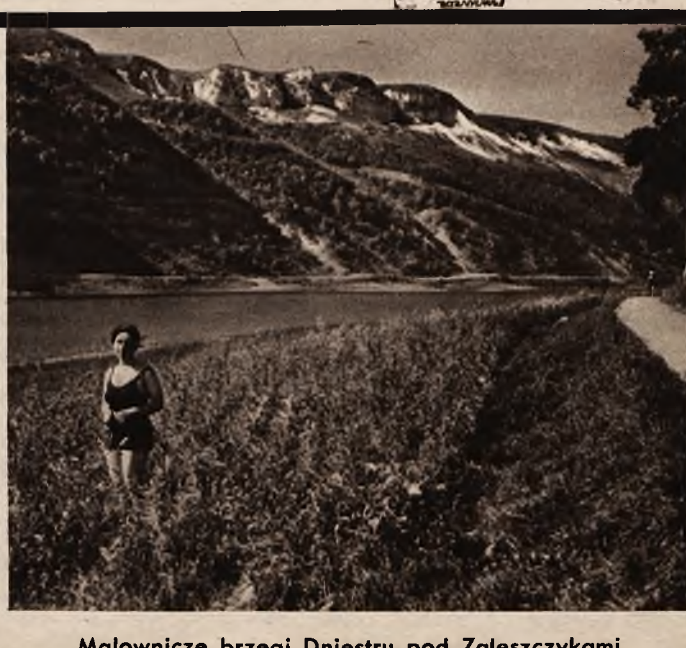
Ale żeby przedostać się nad słoneczny brzeg Dniestru, trzeba odbyć jeszcze „podróż zagranicę". I to nie w przenośni.

Do Zaleszczyk jedzie się nocą. Przyjeżdża rano. Taki już jest rozkład pociągów. W pewnym momencie, gdy słońce już dobrze dogrzewa, rozespany podróżny wygląda oknem na jakiejś stacyjce i nic nie rozumie. Czy pociąg zmylił drogę? Rumuńskie napisy, rumuńskie mundury, rumuńska mowa.

Bo tak już jakoś dziwnie podzielono tu granicę, że terytorjum rumuńskie klinem wdziera się w polską ziemię. I ten klin przeciąć trzeba, na szczęście bez paszportów i wiz, aby wylądować w perle słonecznego Podola.

A słonecznego nie na żarty. Podróżny wysiada z pociągu i tonie w słońcu. W morzu słońca. Parokonna dorożka, świetnie utrzymana, jak wszystko zresztą w tem małem, a niezwykle czystem miasteczku, wiezie go w drżącem ciepłem powietrzu do pensjonatu. Którego, obojętne. Całe Zaleszczyki to jeden wielki pensjonat i, trzeba dodać, pensjonat niezwykle tani.

Morze kwiatów, las winogron, las drzew morelowych — „w tym roku nie urodziły, panie!" — cudowne promienne słoń-



Malownicze brzegi Dniestru pod Zaleszczykami.

ce, w którego blaskach leniwie, cichutko, płyną dniestrowe fale, niosąc na swym grzbiecie setki kajaków i pieszcząc tysiące na bronz spalonych ciał. To Zaleszczyki.

Piękny jest brzeg Dniestru. Wysokie skały na 300 blisko metrów wznoszą się nad zwierciadłem wody. Skały połupane w regularne płyty, na których tak dobrze ustawić leżaki i wygrzewać się w słońcu, którego reszta Polski ma tak niewiele, a Zaleszczyki tak bardzo dużo.

Cisza. Leniwe oko biegnie na drugą stronę rzeki. Wysoko wśród dużych drzew, które z polskiego brzegu wyglądają jak krzewy, mieści się stary, prawosławny klasztor. W pustkowiu zupełnem. Trzy chałupy obok. Żyją w nich mnisi, a klasztor ponoć cudowny. Raz do roku odbywają się tu odpusty, na które ściągają wielkie rzesze ludności. U stóp klasztoru źródło, z którego wodociąg prowadzi wodę do odległej o kilka kilometrów wioski niedużej. U nas niema wiosek z wodociągiem.

Życie Zaleszczyk dzieli się na dwa jasno rozgraniczone etapy. Jeden to późna jesień, zima i bardzo wczesna wiosna. Wtedy w Zaleszczykach są sami autochtoni, t. zn. żydzi i nieco Rusinów.

Ale już od połowy maja Zaleszczyki zmieniają oblicze. Ze wszyskich stron ciągną tutaj ludzie pragnący słońca. A ono jest łaskawe i już w połowie maja świeci z natężeniem nieomal lipcowem innych okolic. Coraz bardziej polszczeją Zaleszczyki i dopiero początek października rozpoczyna powrót do zimowego nudnego snu. Bo wtedy dopiero kończy się orgja słońca.

Wrzesień w Zaleszczykach to najcudniejsza pora. Huczy zabawą i weselem. To przecież winobranie. Pod ciężarem gron uginają się krzewy winogradu. Wprawdzie winogrona niektóre dojrzewają już wcześniej, nawet w końcu sierpnia. Ale dopiero wrzesień jest porą wielkich zbiorów.

Owocowa karjera Zaleszczyk — winogrona i morele — datuje się od lat niewielu. Ale zato obecnie z każdym rokiem przybywa zajętych pod te owoce terenów. Wprawdzie z morelami jest zawsze wielki kłopot, dopisują rzadko, ale zato jak obrodzą, dają wielkie zyski. Poza tem jeszcze olbrzymie plantacje pomidorów stanowią źródło główne dochodów mieszkańców okolicznych.



Na prawo: Grupa kuracjuszy na plaży naddniestrzańskiej.

Człowiek przyjeżdżający do Zaleszczyk nie jest kuracjuszem, aczkolwiek Zaleszczyki są notowane jako stacja uzdrowiskowa. Chorzy nie mają tu nic do szukania. Zaleszczyki — to miejsce wypoczynku dla ludzi zdrowych.

I dlatego w Zaleszczykach jest bardzo wesoło. Nic nikomu nie dolega. Wszyscy chcą się bawić i bawią się. Dlatego małe Zaleszczyki mają duże i piękne lokale rozrywkowe, mają dancingi i kabarety.

Główną jednak atrakcją Zaleszczyk jest Dniestr. Nad jego brzegiem wybudowano dwie plaże. Słoneczną i cienistą. Słoneczna, rzucona wysoko na rozpalonych skałach, nie bardzo nadaje się do kąpieli. Dno rzeki tu kamieniste, brzeg wysoki, niema piasku i uciążliwe zejście do wody. Natomiast urządzona jest pięknie, posiada liczne kosze, leżaki, piękną restaurację i muzykę. Tu przychodzą głównie ci, którzy szukają słonecznych kąpieli, ewentualnie schodzą do rzeki, biorą kajak i płyną w złocistą dal.

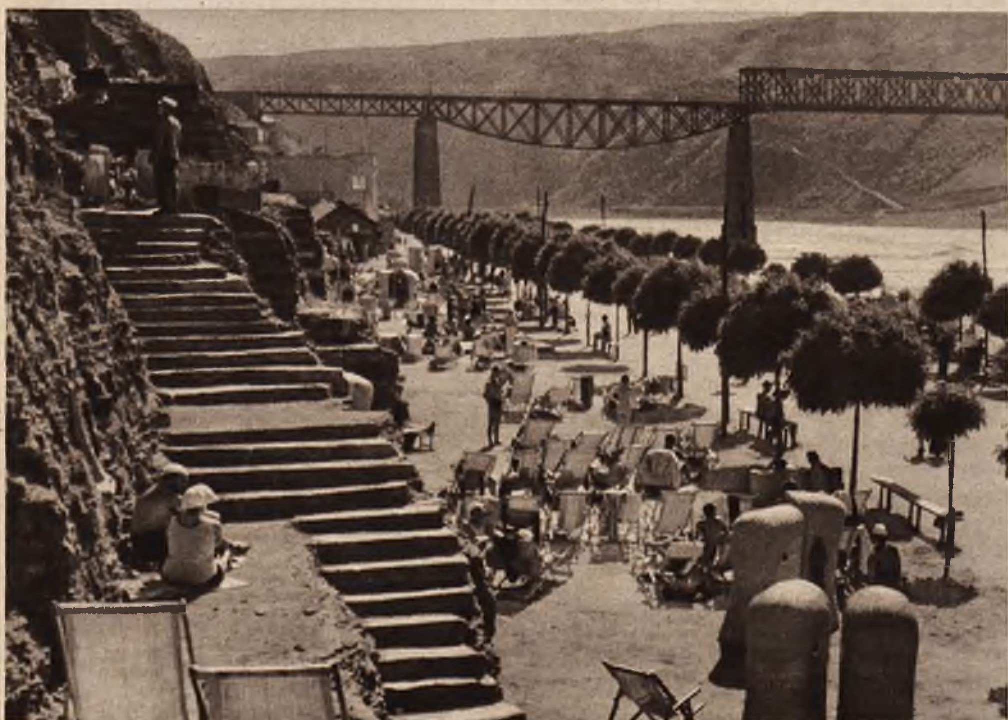
Po drugiej stronie Zaleszczyk leży plaża cienista. Ta posiada wspaniałe gęsto zadrzewione aleje i ogromną zalaną słońcem i pokrytą białym piaskiem plażę nad samym brzegiem Dniestru. W tem miejscu brzeg polski łagodnie się obniża, podczas gdy brzeg rumuński wysoko urwiskami strzela ku niebu. Ta plaża — to raj pływaków i dzieci.

Gwarno tutaj od samego rana. Woda Dniestru jest ciepła. Już o godzinie 8-mej rano ma przeciętnie 22—24 stop., a każda godzina nagrzewa ją bardziej. W południe przekracza nieraz 35 stopni. To też tutaj panuje istne szaleństwo wody.

Na pochwałę Zaleszczyk dodać należy, że mieszkańcy dbają bardzo o letników, których dzisiaj zjeżdża tutaj w ciągu sezonu około 8000. Jest wiele dobrych pensjonatów, urządzonych wygodnie, oświetlonych elektrycznością i skanalizowanych. Przytem niskie ceny wahające się od 3.50—7 zł., przy bardzo dobrem utrzymaniu, są w dzisiejszych trudnych warunkach niemałą atrakcją. Poza tem istnieje jeszcze wiele możliwości urządzenia się zupełnie tanio, wynajmując sobie niedrogi pokój i prowadząc kuchnię we własnym zarządzie, czy też stołując się gdziekolwiek.

Przy swoich walorach naturalnych, przy taniości i czystości, przy starannej obsłudze przybyszów, Zaleszczyki mają wielką przyszłość. To też każdy rok przynosi wzrost frekwencji, zaś ze strony Zaleszczyk nowe udogodnienia dla tych, którzy szukają tutaj wypoczynku....

Jab-Śmiechowski.



Plaża w Zaleszczykach tonie nawet jesienią w promieniach gorącego słońca.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA
FOT. dr. A. WIECZOREK — ZAKOPANE



Na prawo: Poranny spacer brzegiem Dniestru.

NA PODDASZU...
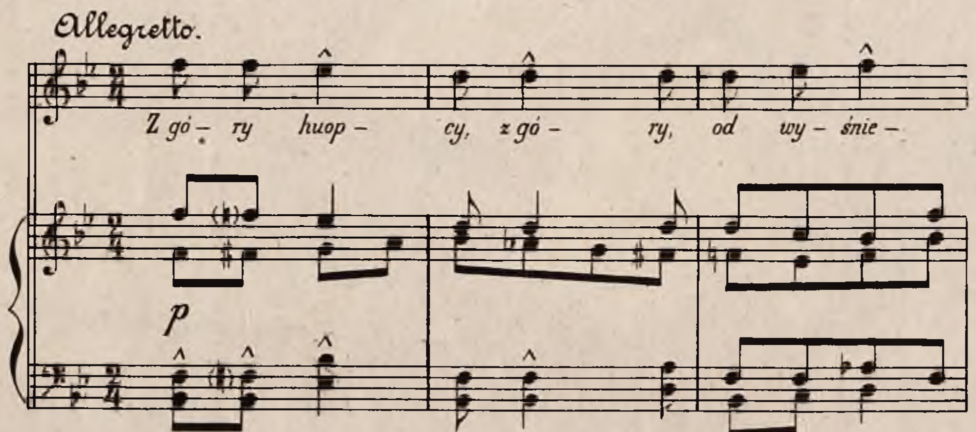


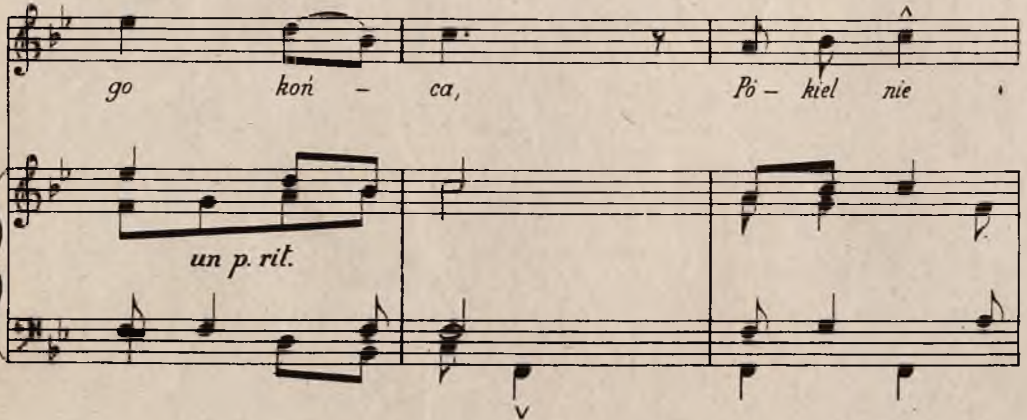
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"
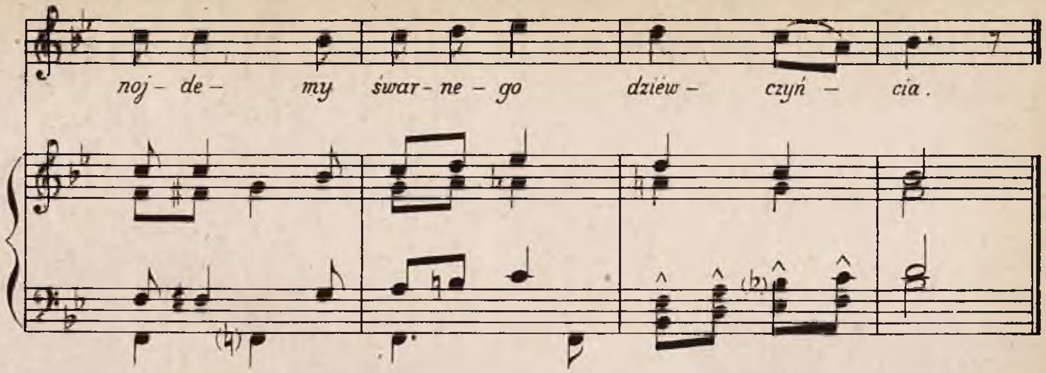
ŚPIWKI Z ORAWY

Akompaniament wystylizował: ZDZISŁAW JACHIMECKI

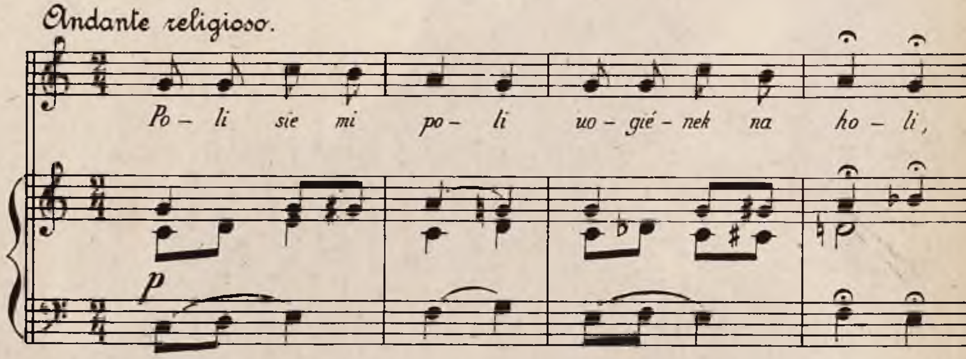
I.
Z góry huopcy, z góry...
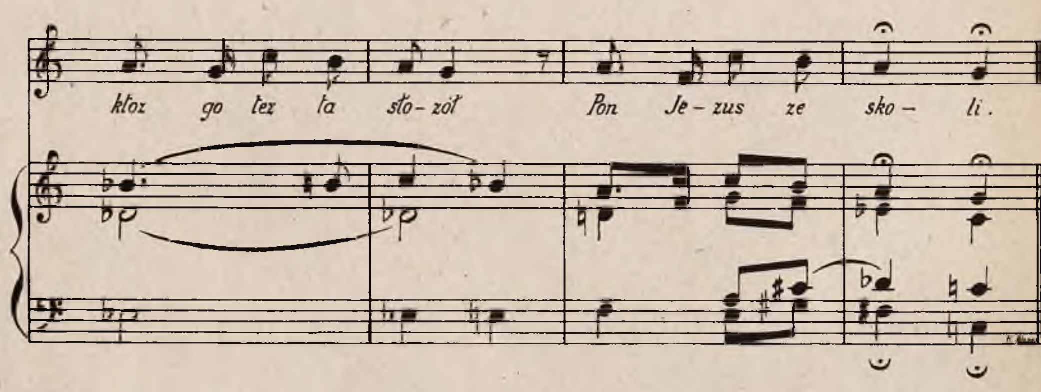






II.
Poli sie mi poli...





JACEK BRZEZINA

NOWELA

BLIZNY TOMA WODKINSA

Że nazwisko moje figurowało po raz nie wiem już który na liście gości „Tigris Palace Hotel'u" w Bagdadzie, to trudno się temu dziwić. Świat dziwnie się skurczył w ostatnich latach, zaś szlaki, po których się włóczyłem, jakbym nie chciał, zawsze Bagdad przecinać musiały. Aleksandrja, Liwerpool, Marsylja, Szanghaj, Bagdad... to stare jak świat miejsce rendez vous włóczęgów — jednak... wszystko bym przypuścił, tylko nie to, że właśnie teraz w sąsiednim numerze hotelu zastanę Toma Wodkinsa.

Trzy lata minęło, jakeśmy się po raz ostatni w tymże „Tigris Palace" rozstawali. Tom jechał do Indyj, ja wybierałem się na dłuższą wyprawę do Jemenu i Hadramutu [1]). Mieliśmy się spotkać po kilku miesiącach, lecz gdy ja, mimo pewnych trudności (Imam Yehia [2]) chciał koniecznie bym się zapoznał z więziennictwem w Jemenie) stawiłem się w umówionem miejscu (wysoki stołek w barze — naturalnie „Tigris Palacu") po Tomie wszelki ślad zaginął i nie sposób było się dowiedzieć, czy znajduje się jeszcze wśród żyjących, czy też dusza jego, opuściwszy dziwnie długie, chude i kanciaste ciało, buja gdzieś w granatowych przestworzach wschodniego czy południowego nieba, ujeżdżając bajecznego Buraka [3]) lub spoczywając w cieniu rozłożystej brody Mahometa.

Na czarnej tablicy, pod numerem 21-szym czytałem: „Tom Wodkins journaliste". Trudno się było mylić. Takich jak on zwarjowanych dziennikarzy mało już włóczy się po szerokim świecie.

Wszedł skrzeczący i zachrypnięty (od whisky i fajki), głos Toma nie zmienił się na jotę w ciągu tych trzech lat, kiedym go nie słyszał.

— How do you do, old boy — powitał mnie flegmatycznie, wskazując mi wygodny, trzcinowy fotel i podając butelkę szampana, których cały arsenał stał wokoło stołu i pod fotelami.

Wypił duszkiem pół butelki „Cordon Rouge" i poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu.

— Co słychać stary? Jak tam handelek?

Machnąłem pogardliwie ręką. — Ciężkie czasy, bieda, kryzys... — umiałem tę formułkę na pamięć.

— Nie łżyj draniu — zaśmiał się. — Już ja tam dobrze wiem od kogo nasi kochani Arabowie zardzewiałe karabiny i armaty kupują.

Spryciarz był nielada, wiedział więcej, niżby to innemu na sucho uszło.

— A co z tobą się działo?

— Phi... — znowu łyknął musującego trunku. — Zwiedził człowiek jeszcze trochę świata, było się w paru awanturkach... Ot, jak to zwykle w moim fachu.

— A czemuś na spotkanie ostatnio nie przyjechał? — wywnętrzałem się z nurtującego mnie żalu.

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie i sięgnął znowu po szampana.

— Pewno jakaś kobietka — co stary?

Splunął z pogardą. — Ja i kobiety... Oszalałeś chyba. Któraby na takiego brzydala poleciała. — Nagłym ruchem rozpiął koszulę (dopiero teraz zauważyłem, że mimo piekielnego upału miał ją zapiętą po samą szyję).

Na szaro-żółtej (jak przystało na notorycznego malaryka), napiętej jak bęben na wystających żebrach skórze, widać było sześć strasznych, podłużnych blizn. Brały początek gdzieś koło gardła, a kończyły się prawie na brzuchu.

— Nie przyjechałem na spotkanie, bom już jedną nogą u Pana Boga za piecem siedział...

Byłem przerażony. Podobnych blizn nie zdarzyło mi się oglądać: — Co ci się stało Tom? Bójka? Napad? Możeś w Abisynji na Włochów polował lub ujeżdżał słonie w Kongo?

— Phi... Wiesz, że do Afryki i czarnych nie mam pociągu. Śmierdzą bestje. Te blizny, to pamiątka po moim ostatnim pobycie w Afganistanie.

— Thank you. Ładna pamiątka. Któż cię tak urządził?

Machnął pogardliwie ręką. — Stare dzieje. Niema o czem gadać. Grunt, że się z tego wylizałem.

Ponosiła mnie ciekawość. — Słuchaj stary, gadaj mi tu zaraz, jak tam było. Mam i ja coś ciekawego dla ciebie, ale naprzód twoja kolej.

Żyłka dziennikarska rozbudziła się w chudem ciele Toma. Poruszył się żwawiej. — Nie nabierasz mnie? Cóż tam dla mnie nowego chowasz? — Wiedział, że zawsze różne ciekawostki noszę w zanadrzu moich wspomnień.

Zmrużył jedno oko i patrzał na mnie zezem z ponad długiego, upstrzonego piegami nosa, głaszcząc równocześnie jak gdyby z roztargnieniem swoją ryżą czuprynę.

Huk wylatującego z butelki korka był dowodem, że będzie opowiadał. Siadłem wygodniej w fotelu i napchałem nową porcję tytoniu do fajki.

Już jak Tom Wodkins miał jakąś przygodę, to warto było jej posłuchać.

* * *

— ...Trzy lata temu, jak wiesz, udałem się do Indyj. Redaktorom pism, z któremi współpracuję, zachciało się nagle opisów palenia żon, walki słoni, maharadżowskich skarbów i innych tak chętnie czytanych bzdur. Miałem jednak pecha. Nic się nie działo. Spokój, cisza na froncie. Ghandi na emeryturze, Aga Khan [1]) w Paryżu, fakir z Ipi dopiero uczył się strzelać... Skarbów mi nie pokazano, słonie nie chciały się bić, a na palenie żon nie dostałem zaproszenia. Nie miałem więc nic do roboty, a redaktorzy naciskali coraz zawzięciej. Nie pozostało mi nic innego, jak pisanie barwno-ckliwych reportaży i wywiadów z miejscowemi udzielnemi kacykami, a do tego — jak pewnie wiesz — z moją powiększoną wątrobą nie bardzo się nadaję.

Zacząłem się nudzić jak mops i zastanawiać, czy też przypadkiem nie opłaci się wstąpić do szkoły fakirów, gdy w tem, na moje nieszczęście, poczęły dochodzić pocztą pantoflową z Afganistanu wieści, że jakoby szykuje się tam jakaś ruchawka, czy też inny zamach stanu.

Nareszcie coś dla mnie! Spakowałem manatki i jak można było w tamtejszych warunkach najszybciej, znalazłem się w Kabulu.

Odtąd właściwie rozpoczyna się moja epopeja.

Wiadomość, jak to zwykle bywa, okazała się najpodlejszego gatunku kaczką dziennikarską i ja z moim pechem musiałem się właśnie na nią nabrać. Trudno... Dość, że nie wziąwszy przed wyjazdem do ręki kalendarza, zapomniałem o porach roku i w szanownej stolicy Afganistanu złapała mnie niespodziewanie zima.

Wiesz jak to w tych częściach świata bywa. Dziś piękna pogoda, świetnie wszędzie się dostaniesz — jutro, drogi zawalone śniegami i niezdatne do użytku. Tak też się miało i ze mną. Wszelkie starania, by się z powrotem wydostać do Indyj spełzły na niczem. Żaden szofer za największą nawet opłatą nie chciał ze mną jechać. Zresztą nie dziwiłem się im. Zaspy, bandy dzikich górali, stada wilków... Niezbyt ponętne perspektywy... Co było robić?

Kabul — podła mieścina, coś niecoś zeuropeizowana, a właściwie kompletnie jeszcze pachnąca dziczyzną, nie była wcale miłą oazą wypoczynkową. Kilkudziesięciu Europejczyków wiecznie żrących się i kłócących między sobą, i na dodatek wcale lub bardzo kiepsko grających w bridge'a czy innego pokera... Nie-muzułmaninowi nawet papierosów w mieście nie sprzedadzą. W pozbawionych pieców domach zimno było, jak w psiej budzie; na dobitek kiepskie i do reszty zatruwające życie trunki... Możesz sobie wyobrazić moje położenie. Wogóle skaranie Boskie. Po paru tygodniach wszystko, co było godne obejrzenia, obejrzałem, o wszystkiem, co było warte, napisałem. Musiałeś chyba czytać parę moich felietonów, opisujących w różowych kolorach Afganistan. Ta różowość to była moja rozgrzewka, autosugestja, antidotum przeciwko galopującej melancholji.

Spijałem kiepskie whisky, „rżnąłem" w pokera z paroma ciemnemi typami, trzymając na kolanach „kolta", a w rękawie cztery dodatkowe asy (było ich razem koło dwunastu) no i klątem na czem świat stoi. Poczty ani gazet oczywiście nie było. W jaki sposób mogły się przez te wały gór i zasp śnieżnych przedostać?

Tak minęły dwa długie miesiące i nasz termin spotkania zbliżał się zastraszająco szybko. Wiesz, że nie lubię być niesłownym. Musiałem więc działać energicznie.

Sam djabeł chyba przyszedł mi z pomocą. Siedzę pewnego dnia w mojej knajpie, już od kilkudziesięciu godzin napół przytomny, otoczony małemi i wielkiemi butelkami wszelkiego rodzaju trunków, gdy podłazi do mnie jakiś drab i kiepską fracuszczyzną poczyna mi tłomaczyć, że jeżeli dobrze zapłacę, to on gotów jest ułatwić mi wyjazd z Kabulu.

---

[1]) Jemen i Hadramut — niepodległe państwa arabskie.

[2]) Imam Yehia — król Jemenu.

[3]) Burak — bajeczny wierzchowiec, na którym Mahomet wstąpił do nieba.

[1]) Aga Khan — sławny przewódca muzułmanów indyjskich.

Wierzaj mi, że nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy tak szybko otrzeźwieć. Myślałem, że uściskam draba.

Siadł przy moim stoliku. Miał nieogolony podbródek, zezowate ślepia, a z pod baraniego kożucha wystawała rękojeść kindżału. Dla mnie jednak był aniołem zbawicielem.

„... Za tydzień wyrusza do Persji karawana złożona z szesnastu samochodów, z pielgrzymami, udającymi się na coroczne uroczystości do świętej Mekki. Jestem jednym z szoferów. Jeżeli Mister dobrze zapłaci, to mógłbym go wziąć ze sobą..."

Układ stanął szybko. Nie liczyłem się z pieniędzmi, jeżeli chodziło o wydostanie się z tego przeklętego miasta. W jaki sposób ów typ dowiedział się, że mam zamiar już oddawna stąd wyjechać, w jaki sposób karawana miała przedostać się przez śniegi i góry do Persji... nie zastanawiałem się nad tem. Zanadto byłem szczęśliwy.

A więc, w oznaczonym dniu, okutany w futra, z dobrze nabitemi koltami w kieszeniach ruszyłem w drogę.

Szesnaście półciężarowych samochodów różnych marek, przystosowanych wyjątkowo dobrze do jazdy po bezdrożach i wśród śnieżnych zasp, wyciągnęło się w długą linję. Wśród ciżby stukilkudziesięciu pielgrzymów nie zauważono mojej europejskiej, zresztą dobrze przez futra osłoniętej fizjognomji. Obeszło się więc bez jakichkolwiek protestów, na które zresztą będąc przygotowany, miałem w kieszeni, na wszelki wypadek cesarski glejt.

Jechaliśmy w dziesięciu. Szofer, ja i ośmiu pielgrzymów. W karawanie byliśmy coś szóstym od czoła samochodem.

Drogi właściwie nie było. Wokoło ośnieżone pasma górskie, zawalone śniegiem przesmyki i doliny, spadające z hukiem ze wszystkich stron lawiny, dzicz, pustka... Naturalnie ani śladu ludzkich siedlisk.

Moi towarzysze podróży, zatopieni w modłach i rozmyślaniach religijnych nie byli zbyt ciekawi. Czterech mieszczan z Kabulu i czterech brodatych górali. Olbrzymie bermyce, smród baranich kożuchów i potu ludzkiego. Prowianty każdy miał własne. Nie można było liczyć się z tem, że po drodze coś będzie można dostać. Zimno dokuczało nieznośne, szczególnie zaś górskie wichury przeszywały od stóp do głów lodowatym chłodem.

Noclegi? Zajeżdżało się przed jakąś ledwie wystającą ze śniegu lepiankę, wypijało się niezliczone ilości „czaju" i rozkładało się wśród wpół zgniłych mat, by oddać swe skostniałe ciała na pastwę pcheł i innego robactwa... Identyczne noclegi każdej nocy i nic nie zapowiadało, że prędzej niż za tydzień dojedziemy do Heradu [1]).

Karawana rozciągnęła się na wielkim odcinku. Straciliśmy kontakt z jadącymi przed i za nami. Rzadko spotykaliśmy się z którymś z samochodów na noclegu. Częściej pomagaliśmy innym wygrzebywać się z zasp śnieżnych lub odkopywać zawaloną lawiną drogę. Łopaty i oskardy były wciąż w robocie.

W górach widać było czasem otulone śniegiem wioski, nie dające znaku życia. Do naszych uszu dochodziły przeciągłe, mrożące krew w żyłach wycia wilków. Szczyty górskie rosły pod niebo, zlewały się z ołowianemi chmurami, lub błyszczały lodowemi wierzchołkami na tle granatowego nieba. Otwierały groźne i huczące paszczęki przesmyki górskie... Urywały się ślady poprzedzających nas samochodów, zatarte wichurą lub zamiecią śnieżną... Wytrwać — znaczyło być naprawdę człowiekiem hartu, silnej woli i jeszcze silniejszych mięśni.

Szóstego dnia droga stała się jeszcze bardziej dokuczliwa. Zerwała się silna wichura, dmąca śniegiem prosto w oczy. Wydostaliśmy się mozolnie na szerokie płaskowzgórze, otoczone zdala kołem nieprzerwanego pasma gór. Drogi żadnej nie było, śladów ledwie się można było doszukać...

Od pewnego czasu czułem się nieswojo i zaczynałem wogóle żałować, że nie zostałem w przytulnym w porównaniu do naszej ciężarówki Kabulu. Zimno dokuczało mi coraz bardziej. Whisky w termosie ubywało z każdą chwilą w iście zastraszający sposób.

Na noc mieliśmy zajechać do malutkiej wioszczyny Khairaban, lecz jakoś nic nie zapowiadało, że przed północą tam dojedziemy. Zadymka stawała się coraz większa, a poza tem z motorem zaczynały się dziać jakieś dziwne rzeczy. Prychał, strzelał... Abdul-Hamid Moulla Khan, czyli nasz szofer, zdradzał wyraźne zaniepokojenie. Nie uśmiechała mu się widocznie perspektywa przymusowego postoju wśród śniegów i reparacji motoru w bladem świetle księżyca.

Robiło się już zupełnie ciemno, gdy motor ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Stanęliśmy w szczerem polu, otuleni zewsząd niepokalanie białą płaszczyzną. Wiatr świstał przeciągle, sypiąc w twarz ostremi ziarnkami lodowatego śniegu. Wokoło żywego ducha, kontakt z karawaną zupełnie zerwany...

Nerwy moje drgały. Jakiś podświadomy instynkt ostrzegał przed nieznanem niebezpieczeństwem. W jakiej postaci mogło ono nadejść?

Rozpocząłem szybki spacer wokoło samochodu chcąc uniknąć nieuchronnego przemarznięcia na kość. Szofer majstrował coś przy motorze w świetle latarni, klnąc i wymyślając od ostatnich. Pielgrzymi zgromadzili się wewnątrz samochodu kuląc się do siebie jak stado kur i bijąc rękoma dla rozgrzewki po bokach i kolanach. Nic nie przerywało panującej wokoło nas ciszy.

Nagle, gdzieś w mrocznej dali rozległo się przeciągłe wycie.

„Uuuuuuu..."

Z przeciwnej strony odpowiedziało mu drugie i już po chwili w ciemnościach rozpoczął się koncert. Wilki poczuły żer.

Szofer jak koń zastrzygł uszami i ze zdwojoną energją zabrał się do reparacji. Pielgrzymi jeszcze bardziej zbili się w jedną, bezkształtną kiwającą się jednostajnie masę. Nie można było na nich liczyć. Owładnięci religijną ekstazą pozwoliliby się zarżnąć bez jednego słowa protestu, wierząc w swoje przeznaczenie, w „kismet".

Sprawdziłem moje kolty. Naprężenie opadło ze mnie momentalnie. Wiedziałem już, co się z nami stanie, jeżeli motor nie zostanie na czas naprawiony.

W otaczających nas czarnych czeluściach zabłysły jakieś zielone ogniki. Jeden, drugi... Po chwili jak gdyby las jarzących się świeczek błyszczał wokoło i jakiś ledwie dosłyszalny pomruk kołysał się w powietrzu. Wichura ustała, śnieg przestał padać. Byliśmy sami wobec natury i jej odwiecznych praw.

Oparłem się plecami o samochód i przygotowałem broń. Koniec całej historji zbliżał się szybko. Przyznam się, że nie spodziewałem się go zupełnie. Czy mi było żal życia? Nie wiem. Byłem w tylu różnego rodzaju awanturach, że poprostu straciłem poczucie niebezpieczeństwa, przestałem sobie zdawać sprawę z tego, że kiedyś jednak musi przyjść mój „ostatni dzień". Tak było i teraz. Wiedziałem, że zbliża się nieubłagany koniec, a jednak dziwnie nie łączyłem go w myślach ze śmiercią. Nie pasowało jedno do drugiego.

Miast sporządzać (jak to zwykle w takich wypadkach bywa) rachunek sumienia, miast żałować, że nie będę się mógł z tobą więcej zobaczyć, myślałem o ilości wilków, które zdołam zabić, o tem jak długo będę się mógł im opierać... Widocznem było, że śmierć mi w oczy nie zaglądała, i choć nie wiedziałem o tem, natura czuła to i nie przejmowała się zanadto sytuacją.

Pielgrzymi padli na kolana bijąc pokłony w stronę świętej Mekki, której najprawdopodobniej nie mieli już ujrzeć. Szofer, jedyny prócz mnie przytomny w tem towarzystwie człowiek, wsadził przezornie długi nóż w zęby, w jednej ręce potrząsał latarnią zaś w drugiej trzymał olbrzymi, przedpotopowy chyba rewolwer. Nie przypuszczałem, by dużo z niego miał pożytku. W tej chwili lampa była daleko lepszą bronią.

Zbliżył się do mnie. „Oby następny samochód nadjechał. Nie powinien być daleko..."

Nie dokończył. Z mroków nocy, jak wypuszczona z łuku strzała, wymknął się długi cień i wpadł na pogrążonych w modłach pielgrzymów. Ręka proroka dosięgła wiernych...

Nieludzki wrzask zagryzanej ofiary złączył się z krwiożerczem wyciem otaczających nas bestyj...

...Za pierwszemi strzałami zrobiło się koło mnie nieco luźniej. Parę zwierząt leżało rozciągniętych na śniegu, otaczając się powoli szybko krzepnącą kałużą krwi. Z wnętrza samochodu dochodziły odgłosy zażartej walki. Słychać było dzikie wrzaski i kwiki. Pielgrzymi widocznie w ostatnim przebłysku świadomości czy strachu, spostrzegłszy wreszcie, co się dzieje, z kindżałami w ręku starali się bronić przed nacierającą na nich dziczą.

Po chwili atak na mnie powtórzył się. Olbrzymie wilczysko, mimo dwóch kul jakie w jego brzuch wpakowałem, dosięgło moich piersi i zawisło wszczepione pazurami w kłaki futra. Uczułem przy twarzy gorący oddech bestji... Dopiero trzecia kula skierowana w sam łeb, rozciągnęła wilka u moich stóp. Ryki i przedśmiertne wrzaski, dobywające się z wnętrza samochołu, potęgowały się z każdą chwilą. Wilki czując zapach świeżej krwi stawały się coraz bardziej natarczywe.

W pewnej chwili, czy po minucie, czy po pół godzinie od początku walki, nie pomnę już, gdyż w czasie walki straciłem poprostu poczucie czasu, spostrzegłem, że sekundującego mi dzielnie szofera niema już koło mnie. Na ziemi tylko tulała się jakaś zbita masa paru skotłowanych wczepionych w siebie ciał. Odrzucona lampa kładła na biały, opryskany krwią śnieg długie smugi czerwonego światła...

Musiałem założyć nowe magazyny. Skorzystały z tego otaczające mnie zwartym kręgiem i czekające tylko na odpowiedni moment wilki. Uczułem piekący ból w piersiach. Pod ciężarem paru ciał zwaliłem się na ubity jak na cyrkowej arenie śnieg. Jedyną moją ochronę stanowiło jeszcze grube futro, w które przezornie cały się okręciłem. Uratowało mi życie.

Smród i odór wilczy zatkał mi oddech. Długie, niczem szabliska ostre kły dosięgały już mojego ciała, rwały je, darły... Nie straciłem jednak przytomności. Ostatnim wysiłkiem woli i mięśni ładowałem pod kupą przygniatających mnie ciał moje kolty. Ból rozrywanego ciała wzmagał się, oczy mgłą poczęły mi zachodzić.

Cały magazyn, wpakowany w brzuchy szarpiących mnie bestyj, uwolnił mnie od ich zbyt „intymnego" towarzystwa. Zdołałem się podnieść i znowu zająć moją pozycję obronną, oparłszy się plecami o samochód. Półkole żądnych krwi pysków otoczyło mnie z powrotem, blisko, prawie na odległość wyciągniętej ręki...

W samochodzie krzyki ludzkie już umilkły. Słychać było tylko powarkiwanie i mlaskanie języków uczty<u>jących</u>.

Byłem ostatni... I mimo to nie bałem się śmierci. Nie czułem jej.

Strzelałem już prawie na oślep. Krew zalewała mi oczy. Postrzępione i porwane na piersiach futro zaczynało zabarwiać się na czerwono.

Wilki już nie atakowały. Zwierzęcy instynkt mówił im, że ofiara nie długo pociągnie. Ucztowały na ciałach swych zabitych braci, nie spuszczając jednak z mojej słaniającej się coraz więcej postaci swoich zielono lub krwawo błyszczących ślepiów.

Dokończenie na str. 31-ej.

[1]) Herad — miasto położone niedaleko granicy Perskiej.



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XVI.



Ćwiczenie pierwsze.



Ćwiczenie drugie.

Skoro już przebrnęliśmy przez tyle figur ćwiczeń fizycznych i nabraliśmy zaufania do naszej wytrzymałości i elastyczności, możemy wyegzaminować ją, podejmując się małej próby akrobatyki. Dzisiaj przyszła kolej na dwa ćwiczenia, przydatne nietylko dla usprawnienia naszych kości i mięśni, ale skutkujące doskonale na złe samopoczucie nerwów.

Ćwiczenie pierwsze: Siadamy na podłodze, wyprężamy nogi w pozycji leżącej, tułów wyprostowany, ramiona wyciągnięte przed siebie na wysokości pleców. Podnosimy zwolna i starannie obydwie nogi równocześnie w górę, licząc do dziesięciu, aby czubki palców u nóg dosięgły wyprężonych dłoni. Nie zapominajmy przytem o prostopadłej pozycji pleców. Musimy zwracać na to baczną uwagę, wyobrażając sobie bodaj, że połknęliśmy kij i nie wolno nam się zgiąć. Zwolna opuszczamy nogi, licząc znowu do dziesięciu.

Ćwiczenie to powtarzamy pięć razy, potem kładziemy się swobodnie na ziemi, masując brzuch lekkiemi miarowemi uderzeniami.

Ćwiczenie drugie: Przykucamy, uważając, aby górna część tułowia była wyprężona. Powoli wznosimy prawą nogę i prawą ręką, starając się dłonią chwycić za czubki palców u nóg, lub bodaj ich dotknąć. Ręka i noga mają być jednak wyprężone. W tej pozycji możemy lewą ręką oprzeć się o podłogę, lecz ta pomoc musi później odpaść przy uzyskaniu większej sprawności. Ćwiczenie to powtarzamy sześć razy naprzemian lewemi i prawemi odnóżami. Później stajemy i wykonujemy kilka mocnych wahadłowych ruchów nogami.

KĄCIK PANI DOMU.

Obecny sezon pomidorów, śliwek i ogórków i t. d. powinna wykorzystać każda pani domu i zaopatrzeć swoją spiżarnię w tak niezbędne zapasy na długie miesiące zimowe. Poniżej podaję parę praktycznych sposobów konserwowania i kilka przepisów.

Papryka z ziemniakami.

Duże zielone strąki papryki dobrze obmyć, ściąć im ogonki i ostrożnie wydrążyć ziarenka. Tak przygotowane napełniać masą utartą z ziemniaków, przysmażonej na maśle cebulki, surowego koperku i jajka. Ułożyć ściśle w rondelku na roztopionem maśle, zalać paru łyżkami rosołu i dusić pod pokrywą do miękości. Na wydaniu podprawić białą zasmażką z masła i mąki i podać w tym sosie.

Pomidory solone.

Dojrzałe niezbyt wielkie pomidory obetrzeć na sucho, ułożyć w szklannym słoju do pełna i zalać zimną, przegotowaną osoloną wodą, licząc na jeden litr wody 20 dkg soli. Zawiązać słój papierem pergaminowym i przechowywać w suchej, chłodnej spiżarni.

Do wiosny można mieć w ten sposób świeże pomidory.

Pomidory w flaszkach na zimę.

Dojrzałe i bez skaz pomidory wytrzeć sucho, przekrajać na połówki i dusić najlepiej w kamiennym garnku, aż się zupełnie rozgotują. Następnie przefasować przez sito włosienne i dusić jeszcze dalej, dopóki marmelada trochę nie zgęstnieje, wtedy ponalewać w flaszki z grubego szkła, zakorkować, i gotować w garnku, którego spód i boki wyłożono sianem i napełniono do połowy wodą zimną, licząc od zagotowania się pomidorów dziesięć minut. Najlepiej jest zostawić flaszki w sianie aż do zupełnego wystygnięcia.

Przechowywać w suchej spiżarni. Można dla pewności dodać też jedno deko kwasu salicylowego na dziesięć kilo pomidorów, ale i bez tego, trzymają się pomidory robione powyższym sposobem świeżo i przez parę lat.

Bardzo praktycznym i prędkim sposobem jest czyszczenie flaszek wodą i zwykłym śrótem, używanym do wyrobu naboi, wystarcza minimalna ilość.

Grzybki z pomidorów jako przystawka do wódki.

Ugotować kilka jaj na twardo, obrać, z dwóch stron trochę przyciąć, ustawić na półmisku i nałożyć na każdą czapeczkę z połówki wydrążonego pomidora i zalać gęstym majonezem na jeden centymetr wysoko, lub ugarnirować francuską sałatą majonezową. Przystawka ta wygląda bardzo efektownie.

Pikle z papryki.

Drobne strąki papryki obgotować w słonej wodzie z dodatkiem ałunu. Gdy zmiękną, odlać wodę i pozostawić paprykę na sicie, aby obeschła. Potem układać ściśle w niedużych słoikach i zalać przegotowanym i ostudzonym octem. Po dwóch tygodniach ocet zlać, a zastąpić go świeżym, przegotowanym z korzeniami i ostudzonym. Na wierzch słoików nalać trochę oliwy i obwiązać je papierem celofanowym. Pikle z samej papryki są bardzo ostre i dlatego lepiej mieszać je z innemi jarzynami. Wystarczy czwarta część papryki, a trzy czwarte innych jarzyn, jak drobne marchewki, małe różyczki kalafiorów, maleńkie grzybki, strączki groszku i fasolki szparagowej itd. Z przyrządzeniem pikli z jarzyn postępuje się tak samo, jak z papryką.

Musztarda z papryki i pomidorów.

Przepuścić przez maszynkę od mięsa 2½ kg pomidorów, 14 strąków dużej zielonej papryki i 1 kg cebuli. Masę tę gotować na wolnym ogniu około dwóch godzin, ciągle mieszając, aby się nie przypaliła. Następnie posolić do smaku, zalać pół litrem octu i gotować jeszcze kwadrans. Gdyby sos był za ostry, można go złagodzić dodając, mniej więcej pół szklanki cukru. Gorący wlewa się do małych flaszeczek z szerokiemi szyjkami, zakorkowuje i zalewa parafiną lub lakiem. Przechowuje się doskonale i w zimie oddaje lepsze usługi od zwykłej musztardy. „

Papryka marynowana.

Upiec w rurze zielone strąki papryki, obracając je wiele razy, aby równomiernie zbrązowiała. Następnie obrać ze skórki, pod którą znajdziemy ładny zielony kolor strąków. Ułożyć je w kamiennym garnku, posypując solą i pieprzem, a następnie zalać niewielką ilością oliwy i octem do przykrycia całej ilości papryki. Po paru dniach marynata jest gotowa jako ostry dodatek do rozmaitych sałatek.

Konserwa z winogron.

Konserwy owocowe w spirytusie, to repertuar t. zw. „Chasse café". Podaje się je przy wystawnych śniadaniach i obiadach w dużych płaskich kieliszkach kryształowych lub z kolorowego szkła. Winogrona do tego celu muszą być z gatunku największych, bo trzeba je drelować, a te mają tylko 1—3 pestek. Konserwę dajemy do kamiennego garnka ze szczelną pokrywą, zachowując proporcję: 3 kg winogron, ½ f cukru, ½ l spirytusu. Wydrelowane winogrona wsypujemy do garnka, w którym zalano spirytusem cukier z głowy, bo ten jest najczystszy i najprędzej się rozpuszcza. Owoców można dorzucać w miarę, jak się konserwę zużywa, trzeba jednak zawsze daną ilość zważyć i stosownie do niej zwiększać ilość spirytusu i cukru. Konserwa ta przechowuje się bardzo długo i jest znakomita. Pozostały sok jest nadzwyczaj aromatyczny i można go różnorako zużytkować w kuchni.

H-a.





Repertuar *najpotrzebniejszych* ubrań Anglika.

Dawno już zostało dowiedzionem, że tylko ten czuje się swobodnie, kto może się wylegitymować najstosowniejszym do danej okoliczności strojem. Jakże to często ludzie, nieinteresujący się zagadnieniami mody, mieli niejeden miły wieczór zepsuty przez to, że musieli w jasnem, może nawet sportowem ubraniu i kolorowej koszuli zasiąść przy jednym stole w towarzystwie wyfraczonych lub conajmniej „wysmokingowanych" elegantów. Kontrast ten może zbyt rażący, wypadałoby złagodzić, wymieniając choćby tylko ciemne ubranie marynarkowe, najczęściej u nas używane na wieczór. Ale w czem tkwi powód tych ubraniowych nieporozumień? — oto pytanie, które tym razem najwięcej nas interesuje. Odpowiedź na nie bardzo prosta: W nieekonomicznem przystosowaniu swej garderoby do trybu życia. Kto chce bywać wie-

Dokończenie na str. 31-ej



Na lewo, dalej:

Marynarka jedno- lub dwurzędowa w paski zwane Hydepark, najczęściej w kolorze granatowym, wchodzi od lat jako elegancki garnitur miastowy stale w skład repertuaru ubraniowego każdego Anglika...

Na lewo, bliżej:

U Anglosasów przy ich zmiennym klimacie dużą rolę odgrywa Burberry, jako najpotrzebniejszy płaszcz, który żyje w zgodzie nawet z melonem i cylindrem, noszonym na torach wyścigowych...



Na prawo:

Wśród najczęściej przez Anglika używanych ubrań, nie powinno zabraknąć jednotonowej dwurzędówki z popielatej flaneli, do której ze względu na charakter sportowy, najlepiej nadają się buciki z bronzowego zamszu...











Na prawo, bliżej:

Kto tylko choć trochę zważa na swój wygląd, ten wyjeżdżając do Londynu, napewno nie obejdzie się bez fraka, bo tam, jak nigdzie indziej, życie zmusza nas do częstego używania tego pięknego stroju wieczorowego...

Na prawo, w środku:

Podczas gdy wszystkie podane tu rodzaje ubrań należą do konserwatywnego repertuaru ubraniowego Anglika, smoking dwurzędowy z miękką koszulą jest już kreacją mody męskiej z lat ostatnich...

Na lewo:

Anglik coraz rzadziej używa na codzień swego ulubionego „morning-coat'u", który pozostał obowiązującym strojem podczas „garden-party", uroczystości ślubnych i na turfie.



Gdy lato się kończy...

Wakacje zbliżają się ku końcowi. Słoneczne, upalne lato tegoroczne zwolna ustępuje pierwszym porannym chłodom i mglistym zadumom jesiennym. Plaże i letniska roją się jeszcze od gości i rozbrzmiewają gwarem, ale coraz częściej w falach morskich przeglądają się ciężkie nawisy chmur, zamiast szafiru pogodnego nieba, coraz szybciej wieczorny mrok otula lasy i pola, czerniejące świeżo zaoraną ziemią.

W jesiennie przejrzystem powietrzu wibrują ostatnie akordy kończącego się lata. Ale piękna pani, choć wyczuwa ten nastrój, daleka jest od jesiennej melancholji. Jesień, to wszak powrót do miasta, za którym (mieszkanki wielkich miast przyznają mi to napewno) po paru tygodniach pobytu „na łonie przyrody" zaczyna się trochę tęsknić. Jesień, to przedewszystkiem początek sezonu, to okres emocji tualetowych sprawunków ,mających na celu stworzenie nowej sylwetki, w myśl wskazań najnowszej mody. Podczas kiedy wypoczywałyśmy zdala od codziennych naszych prac i trosk, podczas kiedy używałyśmy wakacyjnej swobody, dzieląc czas między sporty, rozrywki towarzyskie i „dolce far niente" z zajmującą książką w ręku w wielkich pracowniach wrzała praca, a mistrzowie mody wysilali swą pomysłowość i fantazję, aby na nasz powrót do miasta przygotować największą dla kobiety atrakcję — nową modę jesienną.

W Ameryce, która zawsze i we wszystkiem stara się wyprzedzać staruszkę Europę, już odbywają się pierwsze pokazy mody nowego sezonu. Choć na słonecznych plażach Kalifornji czy Florydy upały trwają jeszcze w pełni, w Nowym Jorku piękne i wysmukłe modelki prezentują już w wielkich magazynach najnowsze modele futer, jakie nosić będziemy tej zimy. Jeśli nie my, to w każdym razie nasze siostrzyce z za Oceanu, dysponujące odpowiedniemy zasobami dolarów. — Ilustacja nasza wykazuje, że pomysłowość nowojorskich futrzarzy nie zna granic: dla każdego typu i dla każdej sylwetki umieją tworzyć odpowiednie futrzane okrycia, od majestatycznych, drapowanych, iście królewskich płaszczy z śnieżnych gronostajów, poprzez wytworne „trois-quarts" z srebrzystych popielic, aż po oryginalny płaszcz z białej miękkiej skóry, podbitej jedwabistemi nutriami. Lansują też ładne i zupełnie nowe połączenia futra z aksamitem, co wypada najładniej przy delikatnem i miękkiem futrze z breitschwanzówek. Płaszcz taki wcięty jest w pasie i rozszerzony lekko ku dołowi, zapięty na dwa rzędy ozdobnych, czy nie zanadto?!) guzików, a wykończony jest kołnierzem i klapami z aksamitu. Torebka i rękawiczki zrobione są z tego samego materjału, przez co całość nabiera swoistego wyrazu. Do takiego okrycia najładniej wygląda toczek aksamitny, ale można też nosić wracające po wielu latach do mody czapeczki z barwnych lub w jednym tonie utrzymanych piórek. Taki breitschwanzowy płaszcz,



Oryginalny kostjum sportowy, ozdobiony skórzanym kwiatem (Ruth Martin).



Tualeta wieczorowa z czarnej krepy, ozdobiona złotym haftem (Phyllis Gilman).

Na lewo: Płaszcz z breitschwanzów, wykończony aksamitem (Ruth Martin).



Samochodowy płaszcz ze świńskiej skóry (Dorothy Day).

dzięki swej lekkości da się użyć już przy pierwszych jesienych chłodach, nie czekając zimowych mrozów. Jest to futro wybitnie przejściowe i najzupełniej odpowiednie na początek zbliżającego się sezonu.

Modele futer na naszych ilustracjach zaostrzą naszą ciekawość. Co też za nowości przyniosą nasze pokazy jesiennej mody, które odbędą się już z początkiem września? Nasza europejska moda, choć może nie obliczona na kieszenie dolarowych księżniczek, pod względem pomysłowości i smaku napewno nie pozostanie w tyle za amerykańską i chowa dla nas bezwątpienia wiele niespodzianek.

Nie zapominajmy, że choć sezon letni w kąpieliskach i uzdrowiskach chyli się ku schyłkowi, koniec sierpnia i września stanowią zato pełny sezon podróży i wycieczek. Upalne letnie miesiące nie nadają się tak do podróży, jak wczesna, a ciepła i pogodna jesień.

Na terenach wystawy paryskiej gromadzi się teraz najwytworniejsza publiczność, międzynarodowi turyści zapełniają wytworne hotele Wiednia czy Berlina, po gładkich autostradach europejskich szlaków mkną jedna za drugą piękne turystyczne limuzyny. Każdy, komu trudności dewizowe (modny termin!) czy też poprostu brak pieniędzy (ale o tem się nie mówi!) nie stanie na przeszkodzie, pragnie przed powrotem do codziennej pracy zaczerpnąć na dalekich szlakach turystycznych trochę noych wrażeń i emocji podróżniczych. Tak, proszę państwa, emocji! Bo choć nie podróżuje się już dyliżansem poprzez góry i rzeki, poprzez bory pełne dzikiego zwierza i zbójców, lecz wystarczy cało i zdrowo przebyć dwie, trzy granice „zaprzyjaźnionych" państw europejskich, aby zażyć prawdziwych, niefałszowanych a intensywnych emocji. Mimo komfortowych „pullmanów", szybkich, jak ptaki samolotów i asfaltowych autostrad, o przygody w podróży wcale dziś nie trudno!



Futrzany komplet, stylizowany na wzorach ludowych.

Ale piękna pani jest nieustraszona. Podróż to jej żywioł, żywioł zmienny, barwny i pełen urozmaiceń. Nie boi się granicznych rewizyj, umie rozmawiać z najsroższymi celnikami, a jakże triumfuje, gdy uda jej się pod ich czujnem okiem przemycić jakąś suknię, kupioną na Kärtnerstrasse, marzenie nie kapelusik wyłowiony naprawdę za „bezcen" na rue de la Paix, czy prześliczne sportowe buciki (prawdziwe angielskie!), nabyte na Bond-street w Londynie!

Każda elegancka kobieta, choćby najbardziej jej było do twarzy w strojnych wieczorowych kreacjach, nad wszystko ceni t. zw. „elegancję sportową". A najlepszem polem do popisu w tej dziedzinie jest właśnie podróż. Strój podróżny musi być przedewszystkiem solidny i w najlepszym gatunku, a najważniejszym jego akcentem są zawsze akcesorja. Szalik z najmiększej wełny o gustownie dobranych kolorach ,oryginalny skórzany kwiat w butonierce kostjumu, barwny krawat przy sportowej bluzce, najmodniejszy zegarek w skórzanej oprawce, piękna torebka z krokodylowej skóry — oto niewyczerpany repertuar, pozwalający w nieskończoność zmieniać i urozmaicać surowy charakter podróżnego kostjumu. Nigdzie tak, jak w podróży nie sprawdza się przysłowie „jak cię widzą, tak cię piszą", to też starajmy się zawsze aby nasz podróżny rynsztunek, począwszy od kuferków i pledu, skończywszy na stroju, przedstawiał się bez zarzutu.

Lady Like.

Nowe amerykańskie modele futrzane.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

„KURA W GARNKU". Ulubiona potrawa oszczędnych Francuzów, podawana w większości domów średniej klasy, różni się sposobem przyrządzania od naszej znanej kury z rosołu. Do tego celu użytą być może kura starsza, którą należy na parę dni przed użyciem natrzeć solą i odstawić. Do gotowania przystawia się ją nalaną około 1½ litrem wody i z następującemi dodatkami: 2—3 pieczarek, kawałek cebuli, ząbek czosnku, 1 pamidor, marchewka, kilka ziarn pieprzu i sporą wiązkę zwykłej włoszczyzny, jaką się daje do rosołu, związaną nitką, aby ją łatwo można było po wygotowaniu odrzucić. Kura powinna się gotować bardzo powoli półtorej do trzech godzin, zależy od wielkości i starości kury. Należy pilnie uważać, aby się nie rozgotowała i jak tylko się widzi, że jest miękka, wyjąć. Pokrajaną na 4 lub 6 części układa się w ogniotrwałej dość głębokiej rynce, polewa przecedzonym rosołem i dodaje pokrajane pieczarki, marchewkę, osobno ugotowany zielony groszek (2—3 łyżek) oraz 5 dkg ugotowanego cienkiego makaronu, który należy po ugotowaniu przelać zimną wodą. Potrawę stawia się jeszcze raz na ogniu, zagotowuje i podaje wraz z rynką owiniętą serwetką.

ZIEMNIACZKI Z JAJAMI „AU GRATIN". 1 kg ziemniaków w łupkach myje się dokładnie i gotuje w wodzie z solą i łyżeczką kminku. Ugotowane obiera się z łupki i kraje w plastry. W rynce nieskąpo natartej masłem, układa się warstwami ziemniaczki i jaja ugotowane na twardo i pokrajane w plastry. Każdą warstwę soli się i kropi masłem i kwaśną śmietaną. Wierzch potrawy posypuje się bułeczką i polewa masłem, poczem zapieka się ją przez 20 minut w gorącym piecyku. Podaje się z zieloną lub pomidorową sałatą.

BUDYŃ Z BRYNDZY. Dla zwolenników pikantnych potraw podajemy poniżej przepis na przystawkę lub kolację. 14 dkg bryndzy uciera się z łyżką masła i 4 żółtkami, szczyptą soli i odrobiną imbieru, który potrawie nadaje smaku specjalnego. Do utartej masy dodaje się pianę z 4 białek i 4 łyżki (płaskie nie kopiaste) grysiku. Masę lekko wymieszaną, nakłada się do formy budyniowej lub do serwetki i gotuje na parze przez trzy kwadranse. Budyń wyłożony na półmisek, kraje się w plastry i polewa rumianem masłem z bułeczką. Ten sam budyń mniej ostry sporządzić można biorąc zwykły ser w miejsce bryndzy.

POMIDORY FASZEROWANE Z GRZYBKAMI. Drobno pokrajane grzybki dusi się z łyżką siekanej cebuli i masła bez dodatku wody, uważając, aby się nie przypaliły. Miękie grzybki miesza się z łyżką płatków owsianych i szczyptą pieprzu oraz soli. Masą tą napełnia się wyżłobione duże pomidory, ustawia je ciasno w rynce, polewa masłem i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka. Podaje się z smażonemi ziemniaczkami lub z włoskim makaronem.

PRZEPIÓRKI „EN SALUIS". Ptaszki te strzelano w niektórych okolicach w dużych ilościach, są najtłuściejsze i najlepsze po żniwach lub tuż przed niemi. Wypatroszone i wymyte przepiórki soli się, zawija w cienkie płaty młodej słoniny i owiązuje nitką. Brytwankę wykłada się płatkami słoniny, pokrajanemi jarzynkami, cebulką i troszką korzeni, układa na tem przygotowane ptaszki, przykrywa i stawia na ogniu. Po chwili duszenia dolewa się kieliszek czerwonego wina i łyżkę rosołu i dodusza powoli. Gotowe wyjmuje się z sosu, zdejmuje z nich nitkę i przekrawa na połówki. Pozostały sos zagęszcza się zasmażką i paru łyżkami madery, zagotowuje i polewa ułożone na półmisku przepiórki. Brzeg półmiska okłada się grzankami z bułki maczanemi w sosie. Płatki wysmażonej słoninki kładzie się na grzankach.

RÓŻNE CIASTA DO KNEDELKÓW ŚLIWKOWYCH. 1. **Ciasto strudlowe:** na knedelki ubija się z 30 dkg mąki, 1 jaja, pół łyżeczki soli, grudki masła i tyle letniej wody, aby ciasto było wolne i ciągnące się. Ciasto wybija się na desce tak długo aż od ręki odstaje, wtedy przykrywa się je ogrzanym rądelkiem i pozostawia przez pół godziny w spokoju, poczem się je wałkuje, cienko kraje w kawałki i zawija nie śliwki do sucha otarte. Gotuje się w słonej wodzie przez 10 minut i podaje polane masłem i posypane piernikiem. 2. **Ciasto serowe** sporządza się z 30 dkg mąki, 2 dkg masła, 25 dkg sera i 2 jaj. Ciasto musi przez pół godziny spoczywać. Dalsze postępowanie jak wyżej. 3. **Ciasto bułkowe.** 6 dkg masła uciera się na pianę, dodaje 1 całe jaje i 1 żółtko, dwie otarte z wierzchniej skórki rozmoczone w mleku i następnie wyciśnięte bułki, 3 łyżeczki tartej bułki i 4 łyżki mąki. Wymieszane ciasto musi kwadrans spoczywać. Zawinięte w ciasto śliwki gotuje się w słonej wodzie przez 10 minut i podaje polane masłem i posypane suchym tartym serem z cukrem.

JABŁKA W SZLAFROKU. Średniej wielkości jabłka przekrawa się na połówki i wydrąża środki, następnie gotuje w gęstym syropie cukrowym. Jabłka muszą być na pół surowe. Z ciasta francuskiego lub kruchego, wywałkowanego na grubość grzbietu noża, wykrawa się odpowiedniej wielkości kwadraty, kładzie na środku przestudzone jabłko — zbiera wszystkie 4 końce ciasta razem ponad jabłkiem, zlepia je, smaruje jajkiem i piecze w gorącym piecyku.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



ELEKTRYCZNY AUTOMAT PRZYPRAWIA POTRAWY.
W doświadczalnej kuchni „Wspólnota pracy dla poparcia gospodarstwa elektrycznego" we Wiedniu wypróbowano automat, który nie tylko wypieka elektrycznie potrawy przyrządzone, ale nawet przyczynia się do automatycznego przyprawiania. Na ilustracji widzimy pomidory faszerowane, pokrajane i napełnione serem, miąższem pomidorów z pieprzem i solą przy współpracy automatu i rąk ludzkich, a następnie uduszone na kuchni elektrycznej.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 37	Wrzesień — 30 dni
NIEDZIELA **5** Wawrzyńca	Zupa ox-tail z kluseczkami. Pomidory faszerowane grzybkami z makaronem. Przepiórki "en salmis" z grzankami. Kompot mięszany. Kremówki. <u>Kolacja:</u> Mięszana wędlina z ostrą sałatką.
PONIEDZ. **6** Zacharjasza pr.	"Kura w garnku". Ziemniaczki z jajami au gratin z sałatą. Ryż z jabłkami wypiekany. <u>Kolacja:</u> Budyń z bryndzy lub sera.
WTOREK **7** Reginy	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Kotlety jarzynowe z sosem pomidorowym. Rulada z mięsa cielęcego z jarzynkami. Jabłka w szlafroku. <u>Kolacja:</u> Pasztet z dziczyzny na ciepło.
ŚRODA **8** Narodz. NPM.	Rosół z kaszką krajaną. Sztuka mięsa w sosie pomidorowym. Dzika kaczka z czerwoną kapustą. Zimny budyń owocowy. <u>Kolacja:</u> Omlety z grzybkami.
CZWARTEK **9** Gorgonjusza	Zupa jarzynowa przecierana z grzybkiem. Bułetki z mięsa rosołowego. Baranina duszona z włoską kapustą lub marchewką. Kisiel owocowy z śmietanką. <u>Kolacja:</u> Rydze duszone. Ziemniaczki lub chleb.
PIĄTEK **10** Mikołaja z Tol.	Zupa śmietanowa z makaronem. Budyń grzybkowy. Szczupak lub białe ryby w sosie sardelowym. Knedelki śliwkowe w parzonem lub bułkowem cieście. <u>Kolacja:</u> Wędzone ryby, chleb, sery, rzodkiewka.
SOBOTA **11** Prota	Barszcz na rosole z uszkami. Włoska kapusta z wody, polana masłem z bułeczką. Sznycelki pożarskie z marchewką. Kompot śliwkowy. <u>Kolacja:</u> Płatki z szynką.

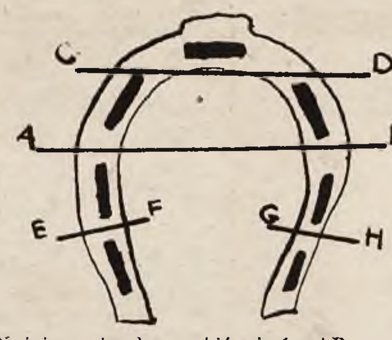
HOCKI-KLOCKI

DOKŁADNOŚĆ ZAWODOWA.



Profesor geografji do fryzjera:
— Proszę mi zwilżyć okolice północno-wschodnie i południowo-zachodnie!
(Ric et Rac).

PODKOWA.



Najpierw trzeba zrobić cięcie AB, a następnie tak ułożyć kawałki papieru, aby cięcie CD można było zrobić równocześnie z EF i GH.

WAKACYJNA WIZYTA.



— Czy państwo w domu?
— Owszem!
— W takim razie przyjdę innym razem.
Rys. Charlie.

Rozwiązania z Nru 35-go.

DRABINA OKRĘTOWA

Ta sama ilość szczebli co i przed przypływem, dlatego że drabina podnosi się wraz z okrętem.

DODAWANIE.

A = 2; B = 3; C = 4; D = 8; E = 9. Wobec tego mamy

2	3	4	8
2	3	4	8
2	3	4	8
2	3	4	8
9	3	9	2

BAŁWAN ŚNIEŻNY.

Bałwan stał 12 dni.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ANTEK I BOLEK.

Antek wspaniałomyślnie ofiarował bratu Bolkowi połowę posiadanych pieniędzy. Bolek, aby nie okazać się gorszym od brata, dał mu czwartą część własnych pieniędzy. Wtedy okazało się, że każdy z nich miał 5 zł. i 25 gr.

Ile pieniędzy początkowo mieli Antek i Bolek?

MOTOCYKLIŚCI.

Motocyklista wyrusza z punktu A do B, odległego o 20 km. Gdy ujechał już 1 km, drugi motocyklista wyrusza z A również do B. Obydwaj motocykliści przez pierwsze 15 km jechali z szybkością 30 km na godzinę, zaś przez pozostałe 5 tylko z szybkością 25 km na godzinę.

Jak daleko od B znajdował się drugi motocyklista w chwili, gdy pierwszy dojechał do celu swej podróży?

NAZWY ZWIERZĄT.

W szyfrowanym liście, jaki otrzymał właściciel ogrodu zoologicznego, nazwy dostarczonych zwierząt były oznaczone cyframi, przyczem każda cyfra 1, 2, 3 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 0 oznaczała jedną literę i za tę samą cyfrę należało podstawiać zawsze tę samą literę. Oto liczbowe przedstawienie nazw zwierząt, dostarczonych do ogrodu: 12342, 4512, 426, 7212, 859, 85120, 7214298. Poza tem wiadomo, że liczba 426 oznacza „Paw".

Jakie nazwy zwierząt występują w liście?

PORTRET.

Pan Wróbel patrząc na portret, wiszący na ścianie w jego gabinecie, zauważył: „Ojciec tej osoby był synem mego ojca. Nie mam ani braci, ani synów". W jakim stosunku pokrewieństwa jest pan Wróbel do osoby namalowanej na portrecie?

Dokończenie ze str. 23-ej.

Mogłem znowu nabić rewolwery i znowu bytować parę chwil na tym świecie...

W głowie poczynało mi się coraz bardziej mącić. Sił ubywało z każdą minutą. Jak przez mgłę pamiętam, że wśród napastników wybuchła walka o leżący w samochodzie łup. Jak przez mgłę widziałem skłębione ciała, błyskające białe kły. Strzelałem ciągle, nie dając się zbliżyć żadnej bestji.

I nagle, poprzez wściekły i krwiożerczy ryk dotarł do mnie jakiś znajomy głos — warkot motoru samochodowego. Czułem, że tracę przytomność. Strzały, ludzkie głosy, wycie oddalających się wilków... wszystko to wirowało mi jeszcze w głowie, by wkońcu zapaść się w jakąś bezmierną, nieograniczoną żadną ścianą ni światłem ciemność.

Pomoc nadeszła w sam czas. Znaleziono mnie z wczepionemi w moje piersi dwoma wilkami...

...Przez długi czas ogarniała mnie ciemność. Później jakieś blade światło zaczęło w niej przebłyskiwać. Początkowo słabiutkie, anemiczne, później coraz mocniejsze, coraz bardziej oślepiające zmęczone gorączką oczy. Gdy wreszcie oprzytomniałem, leżałem w ciemnej, glinianej norze na zasłanym wpół zgniłą słomą barłogu. Obok siedziała okutana w chusty i kożuch kobieta, podając mi do picia jakąś miksturę. Przy każdym ruchu ciało moje przeszywały straszne bóle. Zdawało mi się, że ze skóry mnie obdzierają lub żelazo między żebra wsadzają. Co wieczór odprawiano przy mnie tajemnicze modły, co noc niczem chiński bożek lub nakręcona lalka kiwał się nademną w oparach jałowcowego dymu jakiś brzuchaty góral...

W Khairaban, podłej afgańskiej wioszczynie, dokąd mnie napół żywego przywieziono, zostałem do końca wiosny. Całe długie trzy miesiące, nim straszne rany zadane pazurami i kłami wilczemi jako tako zagoiły się. Chodzono koło mnie rzeczywiście wyjątkowo, a to, że znajduję się jeszcze wśród żyjących i że możemy ze sobą rozmawiać, zawdzięczam tylko miejscowym góralkom i znachorom, którzy potrafili unieszkodliwić zawarty w wilczej ślinie jad.

Jeszcze pół roku musiałem się leczyć w szpitalu w Teheranie nim wkońcu znowu nos na świat wystawić mogłem

Reszta pielgrzymów szczęśliwie dotarła do Mekki. Moim towarzyszom tylko było sądzone nigdy tam nie dojechać. Znaleziono ich napół obgryzionych i na miejscu, na górskiej wyżynie, wśród śniegów i srogich szczytów pochowano. — „Kismeth...".

* * *

Nowy korek wyleciał z hukiem z wąskiej szyjki butelki, oznajmiając koniec opowiadania. Złocisty płyn zaszumiał w kieliszkach.

„No i widzisz — chyba nie możesz mieć pretensji do mne za to, że nie przyjechałem na spotkanie. Miałem szczere chęci, wierz mi..."

Zapatrzyłem się w kłęby dymu, unoszące się z mojej fajki. Tak opowiadać, jak to Tom umiał, mógł tylko taki dziennikarz, jak on. Nie opowiadał, lecz zdawało się, że czyta feljeton, czy nowelę w myśli napisaną...

Z ulicy dochodziły głosy wieczornego ruchu. Upał zmniejszył się. Do kawiarenek i nad brzegi Tygrysu wyległy tłumy spragnionych wieczornego chłodu Arabów.

Jeszcze raz mignęły mi przed oczyma szerokie, postrzępione, straszne blizny Toma Wodkinsa.

Dokończenie z str. 27-ej

czór w towarzystwie, nie obejdzie się bez specjalnych strojów wieczorowych. Kogo znów interesują sporty, choćby tylko w charakterze widza, ten musi pomyśleć o stosownem ubraniu, by np. na torze wyścigowym nie paradować w czarnej marynarce itd. itd. Tu wzorem powinni być dla wszystkich Anglicy, z których każdy, średniozamożny, czy bogaty — młody, czy stary, już za młodu nauczył się, jakiemi ubraniami powinien gentleman dysponować, by w okolicznościach, które stwarza jego tryb życia, zawsze wystąpić w stosownem ubraniu. Repertuar ubraniowy Anglika — to zbiór przedewszystkiem najpotrzebniejszych strojów, które stanowią szkielet jego garderoby, uzupełnianej potem wzdłuż i wszerz w miarę upodobań i co ważniejsze finansowych możliwości właściciela. To minimum jednak daje Anglikowi zawsze pełną swobodę i dobre samopoczucie w każdej okoliczności życiowej.

Brummel.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„GOPŁO" WŁAD. SPERCZYŃSKIEGO. Praca ta jest rodzajem monografji jeziora Gopła i Kruszwicy. W sposób zwięzły, a popularny, lecz oparty o wyniki badań naukowych — daje autor opis historji Gopła i jego najbliższej okolicy.

Dużo miejsca poświęcił p. Sperczyński sprawie powstania państwa polskiego nad brzegami Gopła. „Dotychczasowe badania historyczne — pisze autor w rozdziale „Kolebka państwa polskiego" — nie wyjaśniły nam genezy państwa polskiego, a prehistorja sili się, jak dotąd, daremnie, na wykrycie i stwierdzenie niezbitych dokumentów. — Geografja wszakże jest w stanie wytłumaczyć szereg zjawisk, albowiem w dawniejszych czasach splot warunków geograficznych działał w znacznie silniejszym stopniu na kształtowanie się „linji życia plemion i „narodów".

Autor starał się oświetlić współzależności czynników geograficznych i historycznych, zwłaszcza w zaraniu naszych dziejów.

W okresie, gdy inne narody sięgają daleko wstecz, w legendarne czasy powstawania ich państw — p. Sperczyński wspomina o ekspansji starego szczepu Polan, który budując na ziemiach nadgoplańskich nowe państwo, wykazał ogromną siłę i rozmach.

Praca ta może oddać szczególne usługi nauczycielstwu, gdyż uwzględniono w niej postulaty nowych programów szkolnych. — Rzecz jest ilustrowana reprodukcjami fotograficznemi i mapkami.

WYSTAWA AKWARJÓW W WARSZAWIE.

W Polsce stale odczuwa się brak wystaw i pokazów z dziedziny przyrody, któreby umysł człowieka oderwały od szarej codzienności, a dając możność obserwowania zbliska przyrody, stały się źródłem nieprzeciętnych wzruszeń i naturalnego piękna. To też urządzono po raz pierwszy w roku ub. w Warszawie Wystawa Akwariów była do pewnego stopnia rewelacją.

Obecnie wspólnem staraniem Ligi Morskiej i Kolonjalnej, oraz Towarzystwa Miłośników Akwariów i Terrariów została zorganizowana pod protektoratem pani prezydentowej miasta, Stefanowej Starzyńskiej, druga z rzędu Wystawa Akwariów i Terrariów, połączona z propagandą morza. — Szklarnia w Ogrodzie Saskim przeistoczyła się w egzotyczny światek żyjątek, nad którym unosi się tchnienie dalekich mórz i lądów.

Wystawa tegoroczna o daleko szerszych założeniach i we wspanialszej oprawie, obejmuje następujące ciekawe działy: Fantastycznie piękny i różnorodny świat podwodny ryb i żyjątek egzotycznych i krajowych w akwariach, akwaria morskie, florę i faunę polskiego Bałtyku, pięknie oświetlone akwarium w tunelu (te dwa działy pokazane są po raz pierwszy w Warszawie). Następnie na wystawie jest pokaz: „Akwarium jako ozdoba mieszkania", są ponadto różnorodne gady i płazy w terrariach, rośliny wodne i egzotyczne, propaganda morza, modelarstwo okrętowe i t. p.

Tłumna frekwencja w roku ub. była miarą wielkiego zainteresowania tego rodzaju imprezą wśród najszerszych warstw ludności stolicy. Wystawa tegoroczna stanie się niewątpliwie tembardziej popularną, przedewszystkiem wśród młodzieży.

Jak wielkie wartości dla narodu przedstawia posiadanie morza, — tego „okna na świat", które łączy Polskę z dalekiemi, pięknemi krainami, wymarzonemi niegdyś w dzieciństwie, uświadomią sobie zwiedzający tę wystawę, która łącząc w sobie szlachetną rozrywkę i cel doniosły, wpłynąć może na podniesienie kultury w społeczeństwie i budzenie szlachetnych zamiłowań.

Wystawa trwać będzie od 2 do 20 września i otwarta jest od 9-ej rano do 21-ej wieczorem.

NA SCENIE.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego rozpoczął nowy sezon „Profesją pani Warren" Shawa, której premjera odbyła się na zamknięcie ubiegłego sezonu. Przedstawienie to należy do najbardziej udanych realizacyj sceny krakowskiej. Dyr. Frycz, reżyserując utwór Shawa, wydobył znakomicie jego walory konwersacyjne. Błyskotliwą szermierkę słowną prowadzą tu: pani Warren w interpretacji pp. Janiny Wernicz, jej córka Wiwja Teresy Sucheckiej, przyjaciel domu Crofts Kazimierza Fabisiaka, a ponadto pastor p. Romana Wrońskiego, jego syn — Jerzy Kaliszewski, oraz drugi przyjaciel domu — Włodzimierz Macherski.

„Profesja pani Warren" należy do dawniejszych sztuk autora „Joanny"; pochodzi z przed 40 lat, a przecież ani trochę nie trąci dzisiaj „myszką", jedynie może efekt śmiałych powiedzeń Shawa jest mniej gwałtowny. O ile wówczas Shaw wydawać się musiał niesłychanie zuchwały, o tyle teraz słownik jego wydaje się do pewnego stopnia zastosowany do współczesnej-mody; zwłaszcza na terenie powieści oswoiliśmy się z jaskrawym ekshibicjonizmem.

POZNAŃ. Teatr Polski wystawił komedję Johna Ervine'a p. t. „Pierwsza pani Selby". Jest to wesoła djatryba przeciwko rozwodom. Niemłody już pan Selby chce się żenić po raz drugi z młodą dziewczyną. Ostatecznie zwycięża „pierwsza" pani Selby. W sztuce tej wybija się trójka aktorów: Elżbieta Łabuńska (druga pani Selby), Katarzyna Zbikowska (tytułowa pani Selby) i p. Czesław Strzelecki. P. Łabuńska zdobyła świeżo uznanie w „Dwóch mężach pani Marty" (jak widzimy, Poznań interesuje się mocno sprawami matrymonjalnemi!), obecnie potwierdziła swą klasę aktorską w sposób bardzo przekonywujący. Pp. Zbikowska i Strzelecki są nowicjuszami w grodzie Przemysława, ale nie nowicjuszami w kunszcie aktorskim: wyróżnili się w tej samej sztuce Ervine'a przed paru laty we Lwowie. Reżyserował ją obecnie p. Czesław Strzelecki. — W pozostałych rolach grali: pp. Królikowska, Oranowska, Jasieńczek, Domański i Rosłan.

J. J.

Na najlepszej fali

NIEDZIELA — dnia 5. IX.

9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa.
10.45 Orkiestra Marka Webera i Zespół Light Opera Comp. (płyty)
12.03 Muzyka polska — poranek muz.
13.10 Koncert rozrywkowy.
14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Pieśni i tańce ludu wielkopolskiego — koncert.
16.50 Ostatnia audycja Konkursu Letniego P. R.
17.00 „Podwieczorek na Tangach".
20.40 „U progu nowego roku szkolnego" — przemówienie ministra W. R. i O. P. prof. W. Świętosławskiego.
21.15 „Pożar w ministerstwie" — wesoła audycja.
22.00 Jan Brahms: Sonata fortepianowa f-moll op. 5.
22.35 Artyści opery „La Scala" (płyty).

PONIEDZIAŁEK — dnia 6. IX.

11.40 Menuety (płyty).
12.40 „Od warsztatu do warsztatu: Futro na zimę".
16.00 „Jak wytwarzamy prąd elektryczny" — audycja dla dzieci starszych.
16.15 Lekkie piosenki i utwory fortepianowe.
16.45 „Jak podróżowali dawni Polacy" — feljeton.
17.00 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
17.50 Nowa epoka w łowiectwie — pogadanka.
18.15 Obce piosenki w wyk. polskich śpiewaków (płyty).
19.00 Minjatury kwartetowe — koncert z Krakowa.
21.15 „Pan Tadeusz" — A. Mickiewicza (wybrany fragment).
22.00 Pieśni Tatarów wileńskich (z Wilna).
22.20 Pieśni Haydna, Schuberta i Schumanna w wykonaniu Anieli Szlemińskiej.

WTOREK — dnia 7. IX.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Giacomo Puccini: Fragmenty z op.: „Madame Butterfly".
12.25 Mała Orkiestra Polsk. Radja.
16.00 „Podwieczorek pod lipą" — aud. dla dzieci starszych.
16.20 Lekki koncert kameralny.
17.00 Koncert Ork. Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
18.15 W dniu Święta Brazylji.
19.00 „Willa do wynajęcia" skecz.
20.00 „Cyganerja" — opera w 4-ch aktach G. Pucciniego. Transmisja z Teatru Wielkiego we Lwowie.
21.45 „Pan Tadeusz" A. Mickiewicza (wybrany fragment).

ŚRODA — dnia 8. IX.

11.40 Piotr Czajkowski: fragment z baletu „Jezioro łabędzie".
12.25 Koncert rozrywkowy w wyk. ork. mandolinistów.
16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki.
16.15 Pieśni w wykonaniu Chóru Pracowników Fabryki Karabinów.
16.45 „Samoobrona Wilna i Grodna" odczyt.
17.50 „Galwani — ojciec elektryczności" (w 200-ą rocznicę urodzin) — pogadanka.
18.15 W rytwie czardasza (płyty).
19.00 Słynni dyrygenci — XXI audycja (płyty).
20.00 Kalejdoskop — audycja muz.
21.45 „Pan Tadeusz" — A. Mickiewicza (wybrany fragment).
22.00 Zespół Henryka Kowalskiego.

CZWARTEK — dnia 9. IX.

11.40 Dwaj wirtuozi altówki (płyty).
12.25 Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Rozgł. Krakowskiej.
16.00 „Wrzesień" — pogadanka dla dzieci.
16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
16.45 Sprawa kobieca na forum Ligi Narodów — odczyt.
17.00 „Śpiewające eksponaty" — lekki koncert.
18.15 Słynni dyrygenci w repertuarze walców Straussa.
19.00 „Wesele Elżuni" — w Teatrze Wyobraźni.
20.00 Koncert solistów.
21.45 „Pan Tadeusz" — A. Mickiewicza (wybrany fragment).
22.00 Wieczorny koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.

PIĄTEK — dnia 10. IX.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Ludwik von Beethoven: Sonata Es-Dur op. 81 (z płyt)
12.15 Orkiestra Wojskowa z Wilna)
16.15 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego (z Nałęczowa).
16.45 „Z pustyni — ziemia obiecana" — reportaż.
17.00 „Najpiękniejsze melodje operetkowe" — koncert z Targów Wschodnich we Lwowie.
18.15 Pogadanka konkursowa.
18.20 Orkiestra Alfreda Campoli'ego i duety fortepianowe.
19.00 Symfonje Beethovena — IX audycja (płyty).
21.45 „Pan Tadeusz" A. Mickiewicza (wybrany fragment).

SOBOTA — dnia 11. IX.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory Fryleryka Deliusa z płyt.
12.25 Orkiestra rozrywkowa.
16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci młodszych.
16.30 „Pożegnanie lata" — korowód z pieśnią i muzyką po ulicach Warszawy.
20.00 Audycje dla Polaków zagranicą
21.05 Las gra — ballady i pieśni Schumanna i Schuberta.
22.00 Tańce słowiańskie w wyk. ork. A. Hermana z Krakowa).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.